MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 39. WARSZAWA, 8 WRZEŚNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

WOBEC WYDARZEŃ W PALESTYNIE

ROZRUCHY arabskie, skierowane przeciw kolonistom żydowskim w Palestynie, ozwały się głośnem echem w prasie całego cywilizowanego świata. We wszystkich większych skupieniach żydowskich zawrzało. Odbywają się żywiołowe manifestacje żydowskie, zwrócone przeciw przedstawicielom Wielkiej Brytanji. Żydowska opinja publiczna z wrodzoną sobie skłonnością do przesady wyolbrzymia rozmiary zaburzeń.

Nie sposób dzisiaj przewidzieć, czy rozruchy arabskie przeciw żydom zostaną ograniczone do zdarzeń dotychczasowych, czy też przerodzą się w poważną rewoltę. Niezależnie jednak od tego, co może nastąpić, już dzisiaj wolno tym wypadkom przypisać znaczenie dla polityki światowej.

Niezorganizowana polska opinja publiczna wobec zajść palestyńskich nie zajęła dotąd stanowiska politycznego. Przeważają odruchowe objawy współczucia na wieść o okrucieństwach, jakich mają się dopuszczać Arabowie. Niekiedy można spotkać objawy satysfakcji, że żydzi, którzy tylokrotnie utrudniali nam odbudowę naszego państwa, doznają dziś niepowowodzeń w odbudowie własnego.

Oba te stanowiska nie są przemyślane. Jest wymogiem naszej kultutury politycznej, byśmy do wydarzeń w Palestynie ustosunkowali się jednolicie i zgodnie z zasadami, których realizację pragnęlibyśmy widzieć w życiu międzynarodowem.

Skoro tylko rozwiały się w Polsce dziecinne złudy o asymilacji mas żydowskich, obudziła się, przed wojną jeszcze, odruchowa sympatja dla haseł syjonizmu. Nie dla tego syjonizmu fałszywego, który w praktyce był tylko pokrywką dla zachłanności żydowskiej w diasporze, lecz dla syjonizmu szczerego, zmierzającego w rzeczywistości do odbudowy państwa żydowskiego w Palestynie.

Jeżeli deklaracja Balfoura nie wywołała w Polsce życzliwego oddźwięku, winni są temu sami żydzi, którzy w czasie wojny światowej nie pominęli żadnej sposobności, by zaszkodzić uprawnionym interesom naszego narodu.

Ta okoliczność atoli nie powinna nam zaciemnić zdowego sądu na istotne dążenia syjonizmu. Prawa żydowskie do Palestyny są prawami historycznemi, których słuszność uznajemy sami w stosunku do naszego narodu. Z tytułów historycznych, względnie historyczno-tradycyjnych wywodzą też i żydzi swoje pretensje do Palestyny. Jest więc rzeczą jasną, że wysiłkom żydowskim do odbudowy własnego państwa na terenie historycznym towarzyszyć musi sympatja polskiej opinji publicznej. Mamy dostateczną kulturę polityczną, aby się nie dać zepchnąć z tego stanowiska przez samych żydów, którzy — opierając własne swe dążenia na podstawach historycznych — tak często wobec nas stosowali inną miarę, czy to wydzierając nam swemi wpływami Gdańsk, czy nawet dzisiaj, gdy żydzi, jak Rechberg w Niemczech, czy wpływowy sir Alfred Mond (lord Melchett) w Anglji propagują odebranie nam Pomorza.

Urzeczywistnienie dążeń żydowskich w Palestynie jest rzeczą zupełnie możliwą. Jak wykazał Żabotyński teren dzisiejszej Palestyny przy odpowiednich nakładach i po przeprowadzeniu prac meljoracyjnych na pustkowiach, pomieścić może i wyżywić 7 miljonów żydów.

Tempo prac kolonizacyjnych w Palestynie osłabło w ostatnich latach. Żydzi obwiniają o to Anglję, która — ich zdaniem — nie przestrzega ściśle zasad de-

klaracji Balfoura, a nawet zamierza zrzec się mandatu palestyńskiego. Jest jednak rzeczą notoryczną, że i ofiarność żydowska na cele palestyńskie zmalała znacznie w ostatnich czasach.

Obecne wypadki skonsolidowały na nowo żydowstwo w jego dążeniach do odbudowy własnego państwa. Dowodem tego żywiołowe manifestacji i oświadczenia wybitnych przywódców żydowstwa światowego.

Dr. Leo Frenkel, jeden z najwybitniejszych działaczy żydowstwa amerykańskiego z grupy Marshalla (t. zw. niesyjonistów), bawiący obecnie w Karsbadzie oświadczył w wywiadzie, że wypadki palestyńskie nie tylko nie osłabiają usiłowań żydowskich ku odbudowie Palestyny, lecz właśnie je umocniają. Na wiecu w Londynie zebrano na odbudowę Palestyny odrazu 95 tysięcy funtów szterlingów (ponad 4 milj. złotych).

W żydowstwie coraz żywszą staje się świadomość, że odbudowa Palestyny, to nie tylko odzyskanie ziemi historycznej, lecz także i właściwa droga do przeobrażenia się w naród normalny, naród osiadły. Zwraca powszechną uwagę, że koloniści rolni w Palestynie po pewnym czasie stają się innymi ludźmi i witają nawet z odrazą przybyszów z wschodniej Europy, wnoszących w życie Palestyny znane narowy żydów z diaspory, jak spekulacje, niesolidność i skłonność do oszustwa oraz inne przykre właściwości narodu pasorzytniczego.

Pragnęlibyśmy w naszym własnym interesie, by wysiłki, mające na celu uczynić z żydów naród osiadły, jak inne narody, miały powodzenie.

Jaki obrót wezmą rozruchy palestyńskie? Czy Anglja będzie skłonna w razie potrzeby zapewnić siłą realizację deklaracji Balfoura? Oto pytania w tej chwili najbardziej aktualne.

Polityka angielska na bliskim Wschodzie znalazła się dzisiaj w impasie. W wyniku dwulicowej gry, cechującej politykę angielską, Wielka Brytanja stoi przed nielada trudnościami. W czasie wojny światowej za pośrednictwem pułkownika Lawrence zawarła Anglja pakt z Arabami i wywołała powstanie arabskie przeciw Turcji. Później, gdy okazała się potrzeba uzyskania poparcia żydów w wojnie światowej, nastąpiła deklaracja Balfoura, niewątpliwie sprzeczna z przyrzeczeniami, poczynionemi szczepom arabskim.

Wskutek tego polityka angielska w Palestynie nie mogła iść po prostej linji i uprawniła żydowstwo światowe do zarzutu, że Wielka Brytanja nie trzyma się ściśle deklaracji Balfoura.

Ostatnie rozruchy arabskie już w tych wymiarach, jakie przybrały dotychczas, zagrażają podstawom polityki angielskiej w krajach muzułmańskich. To też nic dziwnego, że — jak donoszą pisma żydowskie — w gabinecie Mac Donalda zapanował nastrój paniczny.

Gdyby rozruchy arabskie przybrały rozmiary powstania, uśmierzanego wojskowo przez Anglję, nastrój Arabow zwróciłby się odrazu zdecydowanie przeciw Anglji. Po wojskowem wycofaniu się Anglji z Egiptu, zagrożenie kanału Sueskiego stać się może rzeczywistością. Najkrótsza droga do Indyj może być dla Anglji przecięta. A mahometanie w Indjach?

Czy w takiej sytuacji Anglja mogłaby do walki z arabami użyć wojsk kolonjalnych? Wojska indyjskie byłyby chyba zupełnie niepewne, dominja nie będą się kwapić.

W ostatecznym wypadku rząd angielski musiałby do walki z Arabami użyć rdzennych wojsk angielskich. I oto pacyfistyczno-robotniczy rząd Mac Donalda może stanąć wobec konieczności wysyłania robotników angielskich do walki z Arabami w obronie praw żydowskich. Czy rząd *Labour Party* wytrzyma takie brzemię? Czy nie zechce się wycofać z interwencji wojskowej w Palestynie, gdyby rozruchy przybrały formę wybuchu?

Żydowstwo światowe używa wszystkich swych wpływów, by zmusić Anglję do wypełnienia uczynionych żydom przyrzeczeń. Opinja publiczna żydowska zaciekle atakuje Anglję, zrzucając na jej odpowiedzialność zaszłe wypadki.

Louis Lipski, wódz syjonistów amerykańskich, bawiący obecnie w Londynie, już na wieść o pierwszych zajściach przy „ścianie płaczu", oświadczył: „Ogólna sympatja do Wielkiej Brytanji, wywołana przez deklarację Balfoura i przez przyjęcie mandatu, znika z powodu głupiego postępowania urzędników palestyńskich".

Presja żydów na rząd angielski jest skuteczna. Oto—jak donoszą telegramy żydowskie—w Palestynie zginęło dotychczas dwustu żydów, zaś rannych jest około pięciuset, Arabów zaś zginęło tysiąc, rannych zaś jest kilka tysięcy. Anglja już interwenjuje.

Polityka angielska wobec świata mahometańskiego zagrożona jest u podstaw. Zaplątała się tak dalece, że dziś już dla niej nie pora rozważać skutki własnych poczynań. Cała nadzieja rządu Mac Donalda, że rozruchy arabskie uda się stłumić w zarodku.

Rząd angielski działa dziś pod przymusem. Kroki o doniosłości przełomowej dyktuje mu nie własna rozwaga, jak ongiś, lecz raczej groźby.

A groźby są niedwuznaczne.

Gdy ulicami Nowego Jorku przeciągał pochód manifestantów żydowskich, liczący 50 tysięcy osób, uwagę zwracały transparenty z napisem: „Oby Anglja nie ściągnęła na siebie wiecznej klątwy wiecznego narodu".

Stosunek liczbowy ofiar zajść po obu stronach już dzisiaj wskazuje, że Anglja pragnie uniknąć tej groźby nawet za cenę przysporzenia sobie dużych trudności swej polityce wobec świata muzułmańskiego.

TADEUSZ GLUZIŃSKI

MYŚL POLITYCZNA J. L. POPŁAWSKIEGO. I.

ISTOTA SPOŁECZNOŚCI ŻYDOWSKIEJ

ZBADANIE przeszłości Żydów potrzebne było Popławskiemu [1]) jako politykowi praktycznemu, do ustalenia pojęcia, czem są dzisiaj Żydzi jako zbiorowość i do wyjaśnienia taktyki ich postępowania.

Jak każdy rzetelny umysł, uczciwie pragnący dojść do sedna zagadnienia, Popławski zbadał kwestję pochodzenia Żydów (prace Renana, Lebona, Bellangé'go, Rawlisona i innych) tam odsyłając zainteresowanych i przestrzegając, że „czytelnikom, niewtajemniczonym w wyniki badań naukowych nad dziejami judaizmu i znającym jedynie te dzieje w ich legendarnej, uświęconej tradycją formie", jego twierdzenia mogą się wydać „ryzykownym frazesem".

Wyniki swych dochodzeń streszcza lapidarnie: „Społeczność żydowska nie jest dziś i nigdy właściwie nie była organizmem narodowym", jest ona „organizacją sekciarską, religijno - społeczną, powstałą w końcu V-go wieku lub na początku IV wieku przed naszą erą".

Tak to wyjaśnia: „Sekta powstała w wielkich ogniskach handlu". „W Babilonie, Aleksandrji, miastach małoazjatyckich i syryjskich, i wogóle we wszystkich wielkich ogniskach ówczesnego życia, ludność handlująca była, jak dziś w Polsce, semickiego pochodzenia...". „Wśród tej ludności, złożonej z przedstawicieli drobnych plemion semickich, odrębnej zazwyczaj swem pochodzeniem, a zwłaszcza charakterem swoich zajęć od otoczenia, i wskutek tego tworzącej jakby samodzielne kolonje, powstaje sekta żydowska". „Właściwością znamienną w tej części Azji, jak i w północnej Afryce, jest przeplatanie się terytorjów urodzajnych, mających osiadłą ludność rolniczą z nieurodzajnemi obszarami, po których koczują plemiona, żyjące z pasterstwa i rozboju. Te plemiona koczujące, beduińskie należały do szczepu semickiego, podczas gdy ludność osiadła rolnicza różniła się zazwyczaj od nich pochodzeniem. Koczownicy napadali na ludność osiadłą i, po wymordowaniu i zrabowaniu napadniętych, uchodzili napowrót do swych siedzib w pustyni, lub nawet na czas jakiś utrwalali swoją władzę nad „grzebiącymi w ziemi", i zakładali małe państewka. W przerwach między napadami, ruchliwi koczownicy zajmowali się handlem (po dziś dzień taki sam tryb życia prowadzą Beduini w Palestynie) i z biegiem czasu wytworzyło się z nich w miastach—jądro ludności handlowo-przemysłowej, pośredniczącej w wymianie różnych płodów i zajętej rzemiosłami...".

Wierzenia wspomnianej sekty, czyli judaizm „nie jest bynajmniej, w swej historycznej postaci—wyższą fazą religji plemiennej drobnego szczepu semickiego Beni Izrael, który w dziejach nigdy nie odgrywał ważniejszej roli, ale jest doktryną sekciarską, która powstała i ukształtowała się w Babilonie, Harranie i innych ogniskach życia umysłowego i politycznego Azji, a zarazem w wielkich ogniskach ówczesnego handlu światowego...". Ten charakter zbiorowości żydowskiej tłumaczy Popławskiemu, dlaczego „większość wyznawców judaizmu" przebywa stale poza „głównem ogniskiem sekty, jej ojczyzną", Palestyną; dlaczego „diaspora żydowska istniała na kilka wieków przed zdobyciem Jerozolimy przez Rzymian, istniała od początku istnienia sekty"; oraz dlaczego „obejmowała żywioły bardzo rozmaite, chociaż przeważnie semickie z domieszką chaldejską, egipską, grecką, perską i t. d.", przyczem „prozelityzm, w pierwszych zwłaszcza wiekach bardzo gorliwy, wprowadził do niej mnóstwo pierwiastków nowych, nie wyłączając afrykańskich (murzyńskich i berberskich) i fińsko-tatarskich (chazarzy). Żydzi chińscy, indyjscy, abisyńscy, kaukascy — ani rasowo, ani językowo nie mają prawie nic wspólnego z powszechnie znanym typem żydowskim...". „Rozproszone grupy członków sekty, należące do różnech szczepów, mówiące różnemi językami—były rozsiedlone na ogromnych przestrzeniach (Babilon, Azja Mniejsza, Palestyna, Egipt, kolonje fenickie i greckie)".

Palestynę, zazwyczaj łączoną niesłusznie z Żydami i judaizmem, od wieku XIII przed Chrystusem, zajęła sekta, jak przyjmuje Popławski, dopiero za czasów perskich, t. j. w siedm wieków później, gdy przed władzami sekty stanęła konieczność „przetworzenia sekty w organizację narodową i państwową".

Co spowodowało tę konieczność, tego nam Popławski nie wyjaśnia szczegółowo. Z pewnych wzmianek (jak o Ezdraszu) możnaby wnosić, że pierwszą pobudką była chęć, a może właśnie już i konieczność ukrycia—pod formą narodu albo państwa—międzynarodowego tajnego stowarzyszenia, mającego odrębne od wszystkich cele; do tej zaś pobudki przyłączyły się koncepcje natury religijnej, fanatyzujące kierowników i tłumy żydowskie.

Do stworzenia narodu (państwo było łatwiej stworzyć) trzeba było dać członkom sekty odrębną od reszty ludzi i odzielającą ich od nieczłonków — doktrynę religijną. W wyniku prac w tym kierunku doktryna głosiła, że żydzi mają, za uznanie monoteizmu (przepaść dzieląca od innych), przeznaczoną sobie nad światem władzę, „udzieloną im przez Boga, który jest przedewszystkiem Bogiem Izraela".

Wsparta na tej doktrynie społeczność żydowska poczuła się plemieniem, zajmującem wyjątkowe stanowisko w ludzkości, cieszącem się szczególną łaską Boga... Krwawe klęski i prześladowania nie złamały tej wiary; przeciwnie, po upadku Jerozolimy, powiada Bellangé — „Żydzi jedną tylko mają dążność ogólnoludzkiej natury, a tą dążnością jest zapanowanie nad światem, który uznają za zdobycz, przeznaczoną dla ludu, przestrzegającego 613 praw" [2])

„Koniecznym tego warunkiem było wyodrębnienie się od przeważającej liczbą miejscowej ludności rolniczej za pomocą ścisłego przestrzegania form i czystości doktryny religijnej oraz fanatycznej nienawiści i pogardy dla tych, którzy do sekty nie należeli".

Aby narzucić żydowskiej sekcie ten pogląd i utrwalić go wśród rozproszonych po całym świecie członków sekty, trzeba było odpowiednio opracować księgi święte; trzeba było również sfałszować historję państwo-

[1]) Artykuł powyższy, zaznajamiający z poglądami J. L. Popławskiego na sprawę żydowską, jest częścią większej pracy, zamierzonej dla rozpowszechnienia myśli wielkiego męża stanu i twórcy obozu wszechpolskiego, oraz uprzystępnienia jej współczesnemu pokoleniu, obowiązanemu nietylko do myślenia politycznego, ale i do działania.

Poglądy polityczne J. L. Popławskiego rozsiane są — jak wiadomo—w długim szeregu artykułów, z których część zebrana została w dwuch tomach „Pism Politycznych" J. L. Popławskiego, Kraków—Warszawa, 1910 i w dziele „Szkice literackie i naukowe" J. L. Popławskiego, Warszawa, 1910. Redakcja, ze względu na brak miejsca opuszcza cały aparat naukowy, w licznych odsyłaczach, przypiskach i uwagach autora artykułów zawarty.

[2]) Charakterystyczną uwagę robi na ten temat Popławski, oceniając „Lalkę" Prusa. Mówi on: „Dla Szumana cały rodzaj ludzki był skazany na wiekuiste bydlęctwo, wśród którego odznaczają się tylko żydzi, jak szczupaki między karasiami".

wą i narodową, jakiej sekta, będąca tajnem stowarzyszeniem, handlowem przedewszystkiem, mieć nie mogła i początkowo nie potrzebowała; ale bez niej kierownictwo nie mogłoby uzasadnić wobec wszystkich członków sekty dążności do władzy nad światem.

Gdy wskutek sprzyjających okoliczności zajęto Judeę, tam stworzono „legendę o potężnym Izraelu, który miał samodzielny byt państwowy i sławnych królów“, tam „z podań i wspomnień miejscowych plemion hittyckich, należących do szczepu semickiego, utworzona została historja Izraela, doskonale do specjalnych zadań i dążeń sekty dorobiona, bo, jak powiadą Bellangé — „niema w niej ustępu, niema wiersza, którybyby nie służył jasno wytkniętemu celowi“. Tym celem było dla sekty uprawnienie „nietylko dokonanego zaboru Palestyny, ale i uprawnienie zaborów przyszłych, stworzenie potęgi państwowej, a w dalszym ciągu osiągnięcie wszechświatowego władztwa nad ludzkością czyli ową „zdobyczą“, przeznaczoną dla ludu, przestrzegającego 613 praw“.

Ta próba wytworzenia narodowości i państwa z legendarną przeszłością — „nie miała trwałego istnienia, chociaż nadała społeczności żydowskiej piętno znamienne, wzmocniła jej wyłączność religijną i solidarność wewnętrzną“, przyczem trzeba zaznaczyć, że mowa tu tylko o sekciarzach, zamieszkujących Palestynę i najsilniej poddanych wpływom władz sekty, i to nie o wszystkich, bo nawet w Judei znalazły się elementy, nie podzielające wszechświatowych dążeń władz sekty; tem bardziej sprzeciwiły się tym niebezpiecznym i zakłócającym spokojny bieg interesów zakusom na całą ludzkość ośrodki dalsze, owe „liczne“, jak mówi Popławski, i „potężne kolonje sekciarskie... w stosunkach społecznych i ekonomicznych związane ze społeczeństwami, wśród których żyją lub do których nawet z pochodzenia swego należą...“

„Odszczepieństwa uszczupliły liczebnie prawowierny judaizm, ale zarazem pozwoliły mu się wzmocnić wewnętrznie, odgrodziwszy tych, co wytrwali przy prowodyrach, zarówno od świata pogańskiego, jak i swoich odszczepieńców.

„To wyodrębnienie się od miejscowej ludności i ponawiane próby uciskania jej, zapanowania nad nią wciągały społeczność żydowską w krwawe walki i narażały ją na prześladowania, które tem bardziej spajały sektę i utrwalały organizację wewnętrzną i odrębność społeczną“. „To nie warunki historyczne“—twierdzi Popławski—„wytwarzają ten charakter społeczności żydowskiej i jej wyłączność, ale wchodzi już ona do historji, jako zorganizowana klasa kupców i pośredników, pochodzeniem swojem, rodzajem zajęć, a zwłaszcza wyłącznością wyznaniową wyodrębniona od narodów, wśród których przebywa i z których wyzyskiwania, uświęconego doktryną o swojem posłanictwie, żyje“.

To nam tłumaczy niezrozumiały skądinąd fakt, że przez ciąg wieków „do dni ostatnich, rozbrzmiewają wciąż te same przeciw żydom zarzuty“, że „antysemici dzisiejsi, mówiąc o żydach, jako o „sekcie, wrogiej rodzajowi ludzkiemu“, dosłownie powtarzają oskarżenia Tacyta, Juvenalisa i Pliniusza“.

W ten sposób utworzona społeczność żydowska „pozostaje niezmienną w zasadniczych rysach swej organizacji religijnej i społeczno-gospodarczej, zupełnie odrębną i zupełnie odmienną od tych ustrojów zbiorowych, wśród których żyje i z których żyje, Jest to jedyna w dziejach świata tego rodzaju symbioza“...

Niezmienność wewnętrzna nie chroniła jednak społeczności żydowskiej od „chwil krytycznych,—kiedy się zdawało, że rozluźniać się zaczyną obręcz wyłączności, utrzymująca w skupieniu jej części składowe“.

Powody tych „chwil krytycznych“ w dziejach żydów kryją się, wedle Popławskiego, w następujących okolicznościach: 1) w każdorazowem osłabieniu żydów przez wyginięcie najfanatyczniejszych żywiołów sekciarskich w wojnach, buntach i rewolucjach, przez nich wywoływanych, jak było, np., w wojnie rzymskiej z r. 66-go; 2) w opuszczaniu szeregów sekty przez tych, komu nie mogły już wystarczyć jej ideały (żydzi—chrześcijanie); 3) w uleganiu wpływom cywilizacji (np. starożytnej greckiej); 4) w udzielaniu żydom swobód, które rozluźniają spoistość wewnętrzną żydostwa.

Jednym z przykładów ostatniego typu zajmuje się Popławski szczegółowo, wziąwszy za przedmiot rozważania epokę średniowiecza, po przejściu „powodzi Islamizmu“. Zatrzymuje się nad tą epoką, ponieważ „ten okres wieków średnich ma dużo analogij z epoką współczesną“, a „światło historji pozwala nam rozejrzeć się lepiej w skomplikowanych i niewyjaśnionych stosunkach dzisiejszych“, które Popławskiego przedewszystkiem obchodzą, jako polityka.

Okres wspomniany wieków średnich ma tedy „podobne tło historyczne“, jak czasy nasze, bo „jest to okres wytwarzania się i krystalizowania indywidualności narodowych, jak nasze czasy są okresem uświadamiania się tych indywidualności“.

Otóż z powodzi ludów barbarzyńskich i Islamizmu „wynurza się znów odrębna organizacja żydowska. Zarówno w państwach arabskich, jak w chrześcijańskiej Europie żydowstwo rozwija się swobodnie, ale może dlatego właśnie rozluźnia się jego spoistość wewnętrzna“.

„Położenie ówczesne żydów podobnem było do ich położenia dzisiejszego. W ówczesnym świecie cywilizowanym, w państwach zachodnio-europejskich i muzułmańskich, społeczność żydowska rozporządzała wielką potęgą materjalną. Żydzi zajmowali wysokie i wpływowe stanowiska; między dostojnikami świeckimi, a nawet duchownymi mieli tajnych wyznawców swej sekty, nie wyłączano ich nawet od wysokich urzędów wojskowych; oddawali się oni naukom; nawet małżeństwa mieszane zdarzały się często, mimo oporu rabinów“. Jak to było zawsze od czasów egipskich do naszych, byli żydzi „bankierami monarchów i ich zaufanymi doradcami finansowymi; opanowali handel, i tak szeroko rozgałęziony w wiekach średnich handel „żywym towarem“, nietylko żeńskim, jak dziś, ale i męskim“.

„Ten stan rzeczy trwa niemal do XIII w., kiedy gaśnie między żydami wszelki ruch umysłowy, a jednocześnie państwa chrześcijańskie zaczynają ich prześladować i ograniczać ich prawa“, ale nietylko chrześcijanie, bo i „władcy arabscy z Hiszpanji, z dynastji Almokadów, ograniczają prawa żydów i wreszcie dają im do wyboru: przyjęcie Islamizmu lub opuszczenie kraju“.

I otóż nasuwa się Popławskiemu naturalne pytanie: dlaczego tak się działo?

Odrzuca najpierw „szablonowe“ na „frazesach“ oparte tłumaczenie zarówno żydów, jak i różnych liberalnych pisarzy, że „skądś, niewiadomo z jakiej przyczyny, wybucha nagle niechęć do żydów, która szybko przechodzi w pogardę i nienawiść“, mimo, że „młodzież żydowska tłumnie garnęła się do szkół, a potem na dobre posady“; mimo że „języki krajowe zyskiwały rozległe upowszechnienie, o czem do dziś dnia świadczy używanie przez żydów żargonów niemieckiego i hiszpańskiego“.

Szczególnie zastrzega się Popławski, aby nie tłumaczyć tego zjawiska rzekomem „wstecznictwem“

i „fanatyzmem religijnym“ średniowiecza, ponieważ, „gorliwość religijna narodów europejskich nie była chyba większa—mówiąc o XII iXIII wieku, niż w X i początkach XI; nie zwiększało się chyba również z biegiem czasu barbarzyństwo średniowieczne. Przeciwnie, wiek XII i XIII są właśnie epoką budzenia się w Europie życia umysłowego. Dlaczego więc narody, które tak się godziły z żydami jeszcze w początkach XI w. w 100 lub 200 lat później zaczęły ich prześladować?“ Dlaczego zresztą, niezależnie od chrześcijan, to samo czynią w tym samym czasie Arabowie?

Popławski daje odpowiedź, wysnutą z obserwacji faktów i z rozważenia psychiki obu stron.

Podkreśla on najpierw, że w XII i XIII w. wytworzyły się w Europie indywidualności narodowe, dążące żywiołowo do przejawienia swych twórczych wartości i wskazuje na fakt, że w tym samym czasie „judaizm występuje zaczepnie wobec narodów, wśród których żyje“. Nastąpiło „ostre starcie się dwóch żywiołów, i oto mamy, jak dziś, syjonizm i antysemityzm średniowieczny. Naprzód syjonizm“—podkreśla Popławski—„bo wówczas, jak i dziś, syjonizm nie jest następstwem antysemityzmu, ale go wyprzedza“.

W tam starciu zaciekawiają i nasuwają się tak dobrze wszystkim znane liberalne *a priori* wątpliwości, czy istotnie judaizm mógł wystąpić zaczepnie?

Odpowiada na nie Popławski twierdząco, wskazując najpierw na to, że osiągnięta przez żydów podówczas „potęga materjalna rozbudzić musiała dawne marzenia sekty o zapanowaniu nad światem całym, o jej szczególnem posłannictwie i uprzywilejowanem stanowisku w rodzaju ludzkim. Ale zarazem ta potęga osłabiała wyłączność sekty, i oto głównem zadaniem jej kierowników staje się rozbudzenie w masach wyznawców—fanatyzmu religijnego i wzmocnienie spójni wewnętrznej“.

Stało się to na długo przed czynnem wystąpieniem żydów przeciw narodom, „wśród których i z których“ ży'i, bo już w XI wieku. Ruch wyszedł z Azji, „pierwotnej ojczyzny sekty“. Tam powstał „Talmud, który jest księgą mądrości sekty“. Ruch klerykalny żydowski ogarnął stopniowo wszystkie kolonje w Azji, Afryce i Europie i wywołał dziwne zjawisko, które „powtórzyło się po kilkuset latach w naszych oczach. Uczeni, bogaci, zasymilowani, jakby dziś powiedziano, Żydzi hiszpańscy, włoscy i arabscy — poddają się pokornie władzy rabinów i stają się zapamiętałymi fanatykami. Nauka grecka wyklęta; wielki Majmonides, jak w kilkaset lat później Spinoza, uznany za heretyka. Fanatycy żydowscy zwracają się do katolickiego trybunału inkwizycji z prośbą o spalenie jego dzieł“.

Robi przy tej sposobności Popławski ciekawą uwagę, że „ten wybuch sekciarskiego fanatyzmu wyprzedza nieraz na znaczny przeciąg czasu prześladowanie żydów, które np. w osławionej przez nich Hiszpanji zaczęło się dopiero w końcu XVI w.“; że „w Polsce do końca niemal XVI w. żydzi korzystali z niezwykłej tolerancji. I oto Polska właśnie staje się ogniskiem najdzikszego fanatyzmu żydowskiego, ojczyzną, jak powiada Bellangé, „potwornego pasożyta, obcego ziemi, jej mieszkańcom i ich mowie“, pouczającym przykładem nieprzejednanego charakteru sekty żydowskiej“.

Kolejność wydarzeń w przedstawieniu Popławskiego byłaby taka: Tolerancja i możność swobodnego rozwoju żydów; zdobycie przez nich potęgi materjalnej i wpływów w rządzie, wojsku, kościele; opanowanie handlu; fanatyzm rosnący jednocześnie z obawą osłabienia więzów sekty; wybranie odpowiedniego momentu i nareszcie — w imię posłannictwa bożego — zamach na gospodarzy, co wywołuje obronę napadniętych, z wszelkiemi konsekwencjami dla napadających żydów.

Popławski przytacza w swojem studjum trafny pogląd W. Ziemińskiego na „trzy fazy stosunku żydów do społeczeństwa, w którem żyją“.

„W pierwszym okresie — mówi — sekta w postaci luźnych gromadek szuka przytułku wśród obcych. Gromadki te, złożone z rękodzielników i przekupniów, dzielą życie między spełnianie obrządków swej religji i zabiegi o kawałek chleba, nie biorąc udziału w życiu miejscowego społeczeństwa.

„Po pewnym czasie sekta się rozrasta. Członkowie jej to kapitaliści, przedsiębiorcy, posiadacze nieruchomości, częstokroć dygnitarze. Biorą już oni udział w życiu społeczeństwa, które zamiast dawnego lekceważenia okazuje szacunek ich uzdolnieniom i poddaje się w wielu rzeczach ich kierownictwu.

„W trzecim okresie sekta, silna potęgą materjalną i organizacją, ujawnia poczucie swej solidarności i wyższości nad otoczeniem, traktując je lekceważąco i narzucając mu swe przewodnictwo. Równocześnie w społeczeństwie, w którem żydzi żyją, rośnie niezadowolenie z zależności ekonomicznej od nich i niechęć, która, podsycana coraz bezwzględniejszem ich postępowaniem, przeradza się w otwartą nieprzyjaźń, znajdującą wyraz w ograniczeniach prawnych i wybuchach nienawiści ludowej. Ostatnim momentem było dotychczas zawsze wywłaszczenie i wypędzenie sekty“.

IGNACY KOZIEŁEWSKI

SZKIC MISTYKI NAUKOWEJ

POGLĄDY filozoficzne posiadają sekret wspólny z poezją — nie ulegają przedawnieniu. Cokolwiekby się orzekło o istocie Bytu, o naturze ducha, o powstaniu świadomości, o stosunku myśli do rzeczywistości, o kryterjach zła i dobra — upłyną dziesięcio i stulecia i znów wracają te same odpowiedzi na te same pytania. Oczywiście, ludzie i czasy wyciskają swe piętno i tu tkwi żywotność filozofji: wchłanianie idej kierowniczych, sił czynnych — modernizacja problematów.

Nasz okres — doba wielkich przełomów i wstrząsów — skłania umysły ku metafizyce wbrew empiryzmowi, ku szukaniu podstaw życia duchowego, jego autonomji i prymatu, w przeciwstawieniu do materjalistycznych racyj techniki.

Dociekania filozoficzne zabarwia przytem pewien mistycyzm: rzecz charakterystyczna jednak, że zgodnie z duchem wiedzy doświadczalnej, dominującej dziś, jest to mistycyzm naukowy w przeciwieństwie do mistycyzmu religijnego średniowiecza, nawiązujący do systemów ze schyłku XVIII wieku — St. Martina i Swedenborga, gdzie hermetyzm, kabalistyka i doświadczenia „metapsychiczne“ jak dziś się wyrażamy, stały się osnową i punktem wyjścia dla poglądów na świat zawiłych, głębokich i dla wielu umysłów dziwnie — sugestywnych.

Opublikowana niedawno praca lekarza krakowskiego, Stanisława Breyera o „Zagadnieniu człowieka“ [1]) jest próbką takiej właśnie mistyki naukowej, opracowaną coprawda i bardzo szkicowo i dość niekrytycznie, co stawia ją w rzędzie prób nie tyle filozofji ile pewnego typu filozofowania. Jednakże, w naszym skromnym dorobku twórczo-filozoficznym po wojnie, dorobku, niestety, pozostającym bez szerszego nawet wpływu na naszą umysłowość (niewiadomo, jakie echa obudziło wielkie dzieło prof. W. Rubczyńskiego „Filozofja życia duchowego“?) dziełko dra Breyera, poprzedzone paru innemi jego pracami, a nawiązujące w niejednem do tradycyj naszej filozofji narodowej, zasługuje na zreferowanie i krytykę.

W stosunku do historycznych kierunków filozofji określa autor swe stanowisko jako spirytualistyczne. Przeciwstawia się monizmowi i pluralizmowi a głównie materjalizmowi, co zwłaszcza dla lekarza jest zasługą, gdyż — lekarze myśliciele często grawitują ku materjalizmowi, że wymienimy tu także nazwiska jak La Mettrie'go (autora *„Homme—machine“* i in.) w XVIII w. i L. Büchnera (autora *„Kraft und Stoff“*) w XIX wieku.

Otóż istotą bytu jest metafizyczna siła, którą autor nazywa „mocą twórczą“, a która jest czemś i pozazmysłowem i pozapsychicznem, tworzącem jednak wszystko materjalne i duchowe.

Zdawaćby się mogło, że jest to pustulat jakiejś dynamiki wszechbytu, tymczasem autor dodaje, że moc twórcza buduje światy „z własnej substancji“ (str. 31). Tu tkwi pierwsza trudność: musimy utożsamić siłę z substancją, co gwałci nasze racjonalistyczne pojmowanie konkretności, zgodnie z którem siła może tkwić w substracie, podłożu, ale nim nie jest. Dalej, ta „moc twórcza“ powoduje tworzenie się „form zjawiskowych“ psychicznych, które „występują w naszej wyobraźni w formach konkretnych“, „drgań“ czy „substancjalnych postaci“ (str. 29). Przykłady istnienia tej szczególnej materji psychicznej upatruje w zjawiskach medjumicznych, materjalizacji, telepatji i t. d. Jak dalece jednak posiadają one cechy wytworów psychicznych, tego nie możemy dziś rozstrzygnąć. Natura ich i pochodzenie mogą być przecie czysto organiczne—nerwowe. „Moc twórcza“ działa tajemniczo, tworząc („wyłaniając“) materję psychiczną (i fizyczną) i tu tkwi jądro mistycznej wiary dr. Breyera w irracjonalną zasadę, w substancję pozapsychiczną, w Ducha, który się realnie materjalizuje. Mistycyzm ten posiada charakter naukowości, powtarzamy, gdyż nietylko fakty metapsychiki ale i nowsze odkrycie z zakresu fizyki, chemji i biologji dostarczają argumentów na poparcie tezy o powszechnem pokrewieństwie substancyj: materji fizycznej, treści psychicznych, wytworów idealnych — słowem całego *Universum*.

Oparcie o zdobycze wiedzy ścisłej daje autorowi możność podkreślenia głębszego pokrewieństwa między istotami żyjącemi a materją nieorganiczną. W ten sposób przejawy życia nie byłyby ściśle do zakresu ustrojów ograniczone, lecz dałyby się w formie mniej lub więcej pierwotnej wyśledzić, począwszy od atomów a nawet — elektronów.

Tu autor podlega wpływowi mało krytycznych choć słynnych w swoim czasie idej E. Haeckla o duszach elementarnych i upatruje je w komórce organicznej. „Każda komórka jest skupieniem miljardów prymitywnych, jednostronnie działających dusz atomowych“ (str. 49). Jest to oczywiście czysta hypoteza, trudna do przyjęcia—gdyż wprowadza już zasadniczy dualizm (substancja atomu i „dusza“ atomu), co zdaje się przeczyć idei emanacji powszechnej (pozapsychiczne—psychiczne—cielesne) głoszonej przez dra Breyera. Pytamy z kolei, czy jest jakaś zasada wyjaśniająca charakter i konieczność tych emanacyjnych stopniowań? P. Breyer odpowiada na to swą „zasadą twórczych wyłonień“. „Wyłonienie“ jest dlań prototypem wszelkiego stawania się, nietylko w świecie fizycznym, lecz i duchowym. Organizm wyłania organy, świadomość również wyłania swe myśli, uczucia, popędy. Nie można koncepcji tej nazwać szczęśliwą.

Jest to określanie raczej powierzchni, niż istoty stawania się. Tkwi w niem magiczno-mitologiczny aspekt pradawnego myślenia, kiedy płodzenie i rodzenie oznaczały wszelkie stosunki genetyczne, by dopiero z biegiem czasu nabrać cech przenośni, tak jak to dziś widzimy.

Zasada „twórczych wyłonień“ ma wyjaśniać rzekomo pochodzenie wszystkiego z wszystkiego, pokrewieństwo uniwersalne wszechrzeczy, co w stosunku do człowieka kazałoby w nim widzieć swoisty mikrokosmos, wyłoniony aż z dwóch źródeł (ciało z Ziemi, dusza z nadindywidualnego Ducha?), w którym wszystkie składniki ułożone są w szereg hierarchicznych nadrzędności.

Mikrokosmos ten wyłania organy „reprezentujące wszystkie potęgi kosmiczne w różnem ustosunkowaniu“ (str. 66). Doktryna o człowieku—mikrokosmosie jes bardzo stara, zna ją Babylon: genezę swą zawdzięcza przedewszystkiem astrologom, stamtąd przeszła do mistyki i fizjologji średniowiecznej i dziś jest znana dobrze. Dr. Breyer jako sympatyk okultyzmu zaczerpnął już gotową naukę: „zasada twórczych wyłonień“ logicznie wcale nie prowadzi do tego.

„Wyłonienie“ (podobnie jak ogłoszona przed kilku laty zasada „prześwietlenia“ powszechnego, przez p. Lucjana Freytaga, jednego ze spółczesnych badaczy mesjanizmu polskiego) nie jest nawet dogodnym terminem heurystycznym: jest zwrotem stylistycznym, wymagającym rzeczowych uzupełnień. Albo też wielkich uosobień, mistycznej potęgi wizji! To czynił neoplatonizm. „Enneady“ Plotyna w sposób porywający ukazują system emanacyi, spływających z przedwieczа Najwyższego Rozumu szczeblami niższych wcieleń aż na próg cielesnej doczesności.

Ale Plotyn był mistykiem typu religijnego.

Autor „Zagadki człowieka“ chce trzymać się przesłanek empirji i stąd trudności dla jego mistycyzmu naukowego.

Na dobro jego trzeba atoli zapisać, że emanacyjny pogląd na świat, nie prowadzi go do teozoficznych kapliczek. Jako przyrodnik i lekarz trzyma się ziemi, jako człowiek wyczuwający społeczną doniosłość myśli, narodowe jej walory w syntezie filozoficznej, wyciąga wnioski zdrowe i jasne. Wyłaniać czyn, budować rzeczywistość z myśli swych, z woli dobra, bo wszystko się skrystalizuje w „metasferze“ otaczającej każdą jednostkę twórczą i nic nie przepadnie. Człowiek musi pamiętać, że jest „uczestnikiem i spółtwórcą jednej, wielkiej, duchowej całości“. (str. 65).

Autor nie wymienia nigdzie nazwiska G. T. Fechnera, twórcy psychofizyki i głębokiego filozofa „synechologji“, nie wiemy, czy autor „Zend-Avesty“ (tak brzmi tytuł głównego dzieła Fechnera) wpływał na ukształtowanie myśli p. Breyera—jeśli to zbieżność — nic nie szkodzi. Myśl Fechnera jest bardzo ożywcza. Dobrze jednak byłoby, gdyby autor rozwinął szerzej i krytyczniej swe poglądy. Książka taka mogłaby ożywić kilka problemów, dziś znajdujących się w uroczystym letargu.

LESZEK KONOPACKI

[1]) Dr. med. Stanisław Breyer — Zagadka człowieka, Kraków 1929. Skł. Gebethner i Wolff w Krakowie i „Dom Książki Polskiej“ w Warszawie. Str. 72.

NA MARGINESIE „PANA TADEUSZA“

1. METEOROLOGJA „PANA TADEUSZA“ PRZECIW CHRONOLOGJI

CHRONOLOGJA poematu „Pan Tadeusz“ była niegdyś zagadnieniem ważnem i dała krytyce pole do rozległych dociekań i obfitej w argumenty wymiany zdań. Potem wszystko ucichło, aż znów Andrzej Niemojewski w dziele „Dawność i Mickiewicz“ powziął myśl ustalenia daty wieczoru w Soplicowie, podczas którego Wojski wyłożył gościom Sędziego swe poglądy astronomiczne. Wyniki rozważań A. Niemojewskiego były takie: — Tadeusz przyjechał do Soplicowa w piątek 5-go lipca, a w poniedziałek 8-go lipca goście zasiedzieli się przed dworem do późnej nocy i wysłuchali „Astronomji Wojskiego“. Prof. Pigoń w komentarzach do „Pana Tadeusza“ wyjaśnił (str. 19 w. 171), że w pierwotnej redakcji poematu przyjazd Tadeusza przypadł na niedzielę; w kilku innych miejscach p. Pigoń stwierdza, że Mickiewicz długo wahał się, zanim ustalił czas akcji na rok 1811, i że w poemacie pozostały ślady tych wahań. Poza tem wiadomo, że poemat stopniowo wzrastał podczas pisania i początkowo rozmiary jego miały byś o wiele skromniejsze.

Komentarze prof. Pigonia pozwalają nam wyprowadzić wniosek taki: Skoro Mickiewiczowi nie sprawiła trudności chronologja akcji poematu co do lat, to tembardziej chronologja co do daty miesiąca i dnia w tygodniu niema istotnego znaczenia i wartości. Akcja 10-ciu ksiąg „Pana Tadeusza“ obejmuje pięć dni— od przyjazdu Tadeusza do śmierci Jacka. Przez tak krótki czas nad Soplicowem „rozbiła się bania“ z katastrofami osobistej i ogólnej natury; wypadki z zawrotną szybkością następują jeden po drugim; zdarzenia, potrzebujące czasu, namysłu i przygotowań, zachodzą znagła i niespodzianie dla bohaterów poematu i dla czytelnika. Sprawy i intrygi miłosne zawiązują się i rozwiązują zbyt pośpiesznie. W poezji wszystko jest możliwe, ale do poetyckiej relacji nie można przykładać powszedniego łokcia, mającego tyle a tyle cali, tyle a tyle stóp... minut... dni i t. d.

Ciekawe i mądre rozważania Niemojewskiego łączą się wszakże ze sprawa inną. Niemojewski dlatego datę wieczoru soplicowskiego ustala na dzień 8-go lipca, gdyż tylko w tym dniu układ gwiazdozbiorów nad horyzontem Soplicowa zgadza się z „Astronomją Wojskiego“ i ze stanem księżyca. Naukowe argumenty Niemojewskiego tak są gruntowne i stanowcze, że bez dyskusji muszą być przyjęte, ale tylko pod tym warunkiem, że zgodzimy się z twierdzeniem autora, jakoby Mickiewicz przed przystąpieniem do księgi VIII-ej, sprawdził swoje wiadomości astronomiczne i „przerobił sytuację“ na globusie astralnym. Natomiast bezwarunkowo zgodzić się możemy ze zdaniem Niemojewskiego, iż Mickiewicz nigdy nie pozwalał sobie na fantazje i opisy przeczące nauce i tradycji.

„Mickiewicz opisując polowanie, musiał znajomością rzeczy zadowolić myśliwych. A opisując niebo, musiał znajomością jego zadowolić astronomów. Myśliwi niedarowaliby mu błędu. Dlaczego mieliby mu darować błąd astronomowie“?... Tak mówi Niemojewski i bardzo słusznie! Ale czy Mickiewicz zawsze był takim skrupulatnym i czy zawsze jego opisy zgadzały się z nauką i prawami przyrody? Gdybyśmy dali przykłady przeczące tej tezie, obalilibyśmy twierdzenie Niemojewskiego i tem samem podkopali zasady chronologji „Pana Tadeusza“.

Mickiewiczowi jako myśliwemu i astronomowi nie możemy nic zarzucić. Opisy myśliwskie i astronomiczne zgadzają się z praktyką myśliwską i wiedzą astronomiczną. Inaczej zgoła rzecz się ma z opisami meteorologicznemi, i z Mickiewiczem — meteorologiem nie zgodzimy się... właśnie w kwestji, związanej z wieczorem dnia 8-go lipca i z „Astronomją Wojskiego“.

Na str. 207 dzieła „Dawność i Mickiewicz“ A. Niemojewski zapytuje:... „Czy wobec wyziewów można było widzieć gwiazdę Pollux, znajdującą się na linji horyzontu?... i zaraz odpowiada sam: — „stanowczo nie!“...

My zaś możemy pytanie to rozszerzyć i zapytać tak: Czy w dniu 8-ym lipca o godzinie 9½ wieczorem można było widzieć jakiekolwiek gwiazdy na niebie Soplicowa i czy ze względu na stan pogody goście Sędziego zdecydowaliby się na tak długie posiedzenie wieczorne przed dworem? — Prawda, że początek VIII księgi wzbudza w nas wrażenie ciepłego wieczoru i pogodnego gwiaździstego nieba — czy jednak nastrój nasz zgadza się z treścią opisów — poprzednich i następnych?.

Według przyjętej chronologji było to w poniedziałek; poranek zaś poniedziałkowy jest opisany w księdze VI-ej, czyli dostatecznie daleko, aby stan pogody wywietrzał nam z pamięci. Godzi się przeto przypomnieć:

> „Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
> Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku“...

Już z tych dwóch wierszy możemy uprzytomnić sobie stan pogody w czasie porankowym — w poniedziałek. Dalszy opis jest jeszcze pełniejszy i jaskrawszy, wskutek czego o całym dniu mamy pojęcie jako o mglistym i zachmurzonym. Deszczu nie było, ale wedle przepowiedni wron, zanosiło się na deszcz.

> ...„na kopach siedzą wrony zmokłe,
> Rozdziawiwszy się ciągną gawędy rozwlokłe,
> Obrzydłe gospodarzom, jako wróżby słoty“...

Mgła była taka gęsta, że ekonom nie mógł rozpoznać nikogo z jadących po drodze, chociaż stał tuż przy niej.

„Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło“... więc też we dworze soplicowskim goście wstali późno..., byli senni, do niczego nie zdradzali ochoty. Sędzia zrana długo pisał, potem wyprawiał z pozwem Protazego, potem długo rozmawiał z Robakiem... A gdy Robak po skończonej rozmowie, wypadł na ganek i siadł na kałamaszkę... na świecie trwało to samo:

> „Furknęła kałamaszka, ginie w mgły obłokach,
> Tylko kiedy niekiedy kaptur mnicha bury
> Wznosi się nad tumany, jako sęp nad chmury“...

Stwierdzamy więc, że w Soplicowie w poniedziałek zrana i koło południa było mglisto, ponuro i zanosiło się na deszcz...

Tymczasem druga połowa księgi VI (opis Dobrzyna) sprawia nam niespodziankę. Maciej Dobrzyński, wstawszy o świcie (w. 484 i 485) i odmawiając pacierze, widział jak się niebo stopniowo wypogadza:

> „Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze
> Nucąc piosenkę: „Kiedy ranne wstają zorze“,
> Rad, że się wypogadza“...

Mgły zaczęły opadać, niebo przejaśniło się, aż „Maciej ogrzał się słońcem“. Oto więc mamy pierwszą niekonsekwencję meteorologiczną; w dwóch sąsia-

dujących z sobą wioskach odmienny był stan nieba i odmienna pogoda. Z tego zaś wynika pytanie: który opis jest prawdziwy, któremu mamy wierzyć? czy pogodzie Soplicowa? czy pogodzie Dobrzyna?

Niewątpliwie musimy przyjąć za prawdę opis pierwszy, czyli opis stanu pogody w Soplicowie, a upoważniają nas do tego dalsze opisy meteorogiczne. Wrony dobrze przepowiadały, gdyż poranek dnia następnego—wtorkowy (dzień bitwy) był już nietylko mglisty, ale i dżdżysty i zimny. Dowiadujemy się o tem z księgi 9-ej (wiersz 76 i następne):

„Już też i słońce wschodzi...
Nawpół widne, napoły w czerni chmur się chowa...
Wiatr wzmagał się i pędził obłoki ze wschodu,
Gęste i poszarpane jako bryły lodu;
Każdy obłok w przelocie deszczem zimnym prószy,
Z tyłu za nim wiatr leci i deszcz znowu suszy,
Za wiatrem znowu obłok nadbiega wilgotny,
I tak dzień naprzemiany był chłodny i słotny".

Chłód zaś był dokuczliwy, gdyż szlachta zakuta w dyby siedziała „dzwoniąc zebami na chłodzie".

Jest więc związek właściwy między początkiem ks. VI i początkiem księgi IX-ej. Zamglony i posępny dzień 8-go lipca, stygnąc i chmurząc się przechodzi naturalną rzeczy koleją w dżdżysty i zimny poranek 9-go lipca. (Wedle chronologji Niemojewskiego). Czyż więc możemy się zgodzić z opisem ciepłego i pogodnego wieczoru między jednym dniem a drugim? Czy obserwacjom astronomicznym nie przeszkadzało zachmurzone niebo? Czy gościom nie było za zimno przed dworem o godz. 9-ej min. 30 w nocy? Są to kwestje mało mające wspólnego z poezją, ale gdy chodzi o również mało aktualną chronologję, to zwrócenie uwagi na nie, nie uchybiając poezji, podkopuje podstawy chronologji.

Jeszcze może bardziej rażąca niekonsekwencja meteorologiczna zachodzi między początkiem ks. IX-ej i początkiem X-ej, w których autor opisuje jeden i ten sam poranek i znów zgoła odmiennie. Z dziewiątej księgi wiemy już, że zrana przed bitwą było zimno, pochmurno i dżydżysto, a tymczasem w X-ej księdze spotykamy się z prześlicznym opisem czasu przed burzą i z piękniejszym jeszcze obrazem samej burzy.

Księga dziesiąta zaczyna się tak:

„Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo".

Te zdania dają nam obraz dnia słonecznego, ale wietrznego, co wszakże nie zgadza się całkiem z przytoczonym powyżej wyjątkiem z księgi IX. Tam jest mowa o chmurach, tu o obłokach, tam deszcz pada, tu dopiero obłoki zbierają się i zaledwie koło południa zakryły połowę nieba. Czas przed burzą i sama burza w opisie Mickiewicza przypomina t. zw. klasyczny obraz burzy letniej, która nadchodzi zwolna i raduje ludzi i zwierzęta, zgnębione upałem. Widocznie upał najbardziej dokuczył wronom, gdyż autor znów uznał za stosowne powiedzieć coś o nich:

...„Wrony, stadami obstąpiwszy stawy...
„Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli
I skrzydła roztaczając czekają kąpieli"...

Tymczasem z poprzednich ustępów widać, że wrony raczej zadużo użyły kąpieli i w ich „suche gardziele" jakoś nie bardzo mamy ochotę uwierzyć.

Od początku księgi VI-ej nie wiemy dokładnie, jaką pogodę mamy sobie wyobrażać w imaginowanym obrazie Soplicowa. Burza po południu 9-go lipca — po dwóch dniach niepogody i zimna nie wydaje nam się prawdopodobną, tembardziej taka piękna burza, ze wszystkiemi akcesorjami burz letnich. Cała ta gmatwanina w pogodzie nie dowodzi pedanterji i skrupulatności autora, co chciał wmówić w niego p. Niemojewski. Mickiewicz widocznie nie przywiązywał wagi ani do chronologji, ani do meteorologji i dążył jedynie do odmalowania ukochanej Litwy w całym blasku przyrody. „Pławiąc się w rodzinnym pejzażu" oprowadził nas po wszystkich zakątkach dworu, wsi, pól i lasów, ukazał nam ukochane przez siebie okolice w najpiękniejszej letniej szacie, podczas rozmaitych stanów atmosferycznych dnia i nocy.

Gdyby poemat powstał „na jednem posiedzeniu", niewątpliwie i w tak błahej rzeczy, jak pogoda, nie byłoby niedokładności i przeoczeń, ale ponieważ między napisaniem jednej księgi i drugiej upłynęło niekiedy sporo czasu, nic dziwnego, że autor mógł zapomnieć w jakim stanie atmosfery pozostawił Soplicowo... i kazał Wojskiemu szukać gwiazd na zachmurzonem niebie. Rzecz prosta, że i okulary niewiele by mu pomogły.

Przeto: 1) W opisach meteorologicznych Mickiewicz nie wzorował się „na podręcznikach naukowych i globusach"... lecz posiłkował się wspomnieniami młodości, które jak wiadomo odznaczają się wyjątkową siłą i wyrazistością.

2) Astronomja i... myślistwo nie mogły przyczepić się do wiadomości Mickiewicza. Może to zaś uczynić meteorologja... ku uciesze astronomów, myśliwych i meteorologów...

NB. Chronologja według A. Niemojowskiego, nie zgadza się z treścią „Pana Tadeusza".

STEFAN KRAJEWSKI

(Dok. nas.)

PODRÓŻ PRZYMUSOWA

Nikomu nie jestem potrzebny
Obrzydłem ludziom i sobie
I myślę z przyjemnością,
Że kiedyś spocznę w grobie.

Kiedyś, ba! ale kiedy?
Tymczasem życie człowiecze
Jak pociąg podjazdowy
Tak się marudnie wlecze.

Ah, gdybyż mnie stać na to,
Gdybym był wielkim panem,
To jechałbym sleepingiem,
Albo aeroplanem.

— Dojedziesz w porę, dojedziesz!
Pociesza mnie ten i owy,
Tak samo jak ja markotny
Pasażer wąskotorowy.

Minęliśmy już Utratę,
Żabi Dół, Obrzydłówek,
I tylko patrzeć, jak będzie
Krańcowa stacja: Pochówek.

Ciasno i duszno i nudno,
I sami obcy ludzie,
I czuję się samotny
W tej natłoczonej budzie.

Do domu chcę już, do domu,
Ach kiedyż się spać położę!
— A czy wygodne mi łóżko
Posłałeś, Panie Boże?

ARTUR CHOJECKI

LIBERUM VETO

O wolności słowa, panowaniu prawa i rozkazu

We wszystkich pismach perjodycznych, które nie należą do Siczy sanacyjnej, ich redaktorzy nie są „koszowymi“ a współpracownicy kozakami regestrowymi, podnoszona jest ciągle sprawa surowej cenzury, stosowanej często z pogwałceniem zasady konstytucjnej, która zapewnia swobodę słowa publicznego. Czytelnicy jednak tych organów z wypuszczoną krwią nie wiedzą dokładnie w jakim stopniu dokonywa się to pogwałcenie i w jakim stosunku pozostaje do ustawodawstwa państw kulturalnych. Francja pozostaje dotąd wierna Deklaracji z 1791 r., która orzeka „Wolna wymiana myśli i zdań stanowi jedno z najcenniejszych praw człowieka; każdy przeto obywatel może mówić, pisać, drukować swobodnie, ponosząc jedynie odpowiedzialność za nadużycie tej wolności w wypadkach określonych przez prawo“.

Konstytucja belgijska głosi: „Prasa jest wolna, cenzura nie może być nigdy wprowadzona... Jeśli autor jest znanym i zamieszkałym w Belgji, wydawca, drukarz i roznosiciel nie mogą być ścigani“.

Oryginalnem i ciekawem jest w tym przedmiocie ustawodawstwo Anglji. Przedewszystkiem nie zna ono ani żadnego „prawa administracyjnego“, ani osobliwych trybunałów, ani rozróżnień i przywilejów odpowiedzialności. Wszystkie sprawy i wszyscy ludzie, od żebraków do ministrów, podlegają tym samym prawom i tym samym sądom ogólnym. Najwyższy dygnitarz państwa, któryby się dopuścił jakiegolwiek czynu nieprawnego, może być w nich zaskarżony i ukarany, jak zwykły obywatel. Anglikowi nawet we śnie nie nasunie się przypuszczenie, ażeby ktokolwiek obdarzony szczególną władzą, znaczeniem, szacunkiem lub sławą, mógł zgwałcić prawo bezkarnie i być uwolnionym od odpowiedzialności. Nikt przytem nie może się usprawiedliwiać z winy rozkazem zwierzności, chociażby to był rozkaz królewski. Naczelną bowiem regułą ustroju angielskiego jest zasada, że nie rządzą i nie rozkazują żadne osoby, lecz prawa. O tem powinien wiedzieć i pamiętać we wszystkich swoich czynach każdy Anglik bez względu na swoją wartość i stanowisko społeczne. Ta reguła nie ma wyjątków.

Zgodnie z nią Anglja nie posiada żadnej ustawy prasowej i zastępuje ją ogólnemi artykułami o zniesławieniach, obejmujących zarówno słowa głoszone, pisane i drukowane. Dziennik podlega tym samym ograniczeniom, co mowa publiczna, afisz lub karta pocztowa. A te ograniczenia są bardzo surowe. Między przedmiotami zabezpieczonemi od zniesławień znajduje się parlament, który jest równouprawniony z królem i kościołem. Ktokolwiek ośmieliłby się znieważyć go publicznie brutalnemi wyrazami, odpokutowałby za swoje zuchwalstwo wieloletniem więzieniem, zawyrokowanem w sądach zwyczajnych, a od tej odpowiedzialności i kary nie uwolniłby najwyższego dygnitarza żaden przywilej.

Porównawszy z temi warunkami działania prasy w państwach kulturalnych naszą samowolę cenzuralną, łatwo dostrzeżemy olbrzymią różnicę. Nie dość tego, dostrzeżemy ją nawet w porównaniu z przedwojenną rosyjską. Ta stosowała rozmaite stopnie „niepozwolenia“. Najsurowsza była dla przedstawień teatralnych, następnie szły pisma szeroko rozpowszechnione, zwłaszcza dzienniki, potem tygodniki, miesięczniki, broszury, wreszcie dzieła naukowe. Pisma perjodyczne posyłały do cenzury odbitki artykułów w kolumnach niezłamanych, z których po usunięciu wyrazów i ustępów przekreślonych składano numer. Istniała jednak druga proudura, srosowana wyjątkowo jako kara. Mianowicie jeżeli redakcja z jakiegokolwiek powodu ściągnęła na siebie prześladowanie, nakazywano przedstawiać do cenzury nie luźne artykuły, ale cały numer złamany. Po licznych zwykle wykreśleniach trzeba było dokonać nowego przełamania kolumn, co narażało wydawcę na dodatkowe koszty i zwłokę w wypuszczeniu numeru, która zwłaszcza dla pism codziennych była bardzo dokuczliwa. Otóż to, co w cenzurze rosyjskiej stanowiło najwyższą karę, w polskiej jest postępowaniem zwyczajnem. Rewiduje ona pisma perjodyczne w numerach gotowych, jeżeli przeto redakcję nie chcą pozostawiać miejsc pustych — a nie zawsze wiedzą za co skonfiskowano — muszą układać nowe wydania. Ale nie to jeszcze kres samowoli, niekiedy bowiem następują już nadużycia niepojęte, nigdy i nigdzie nie popełniane. Mianowicie czasem policja wchodzi do drukarni i żąda rozebrania czcionek nie tylko artykułu skonfiskowanego, ale całego tekstu numeru, chociażby w nim były rzeczy najniewinniejsze i w nowem wydaniu powtórzone. Od wynalazku Gutenberga najbardziej tyrańskie rządy nie dopuszczały się tego rodzaju uciemiężeń i szykan. Jest to pomysł czysto republikańsko-demokratyczny polski. Dodać trzeba, że to gwałcenie zasady konstytucyjnej, poręczającej wolność słowa publicznego nie dokonywa się się na całym obszarze prasy, lecz tylko w obrębie opozycyjnym. Można zrozumieć i usprawiedliwić obwarowanie przeciw krytyce pewnych osób, urządzeń— instytucyj z którejkolwiek strony one byłyby atakowane. Anglja ciężkiemi karami zabezpiecza konstytucję, parlament, religję, rząd, naród i t. d. Tymczasem u nas te same przedmioty bywają nietykalne dla jednych organów prasy a wystawione na nieokiełznane urągowisko innych. Pewne dzienniki mają zakneblowane usta dla wypowiadania sądów poważnych a uprzywilejowane mogą szeroko otwierać swoje gęby do najnikczemniejszych oszczerstw. Monopoliści swobody i bezkarności mogą szkalować wszystkich i wszystko, mogą przezywać naród gromadą idjotów, sejm — kupą łotrów, generałów — złodziejami, patrjotów — płatnymi adentami obcych mocarstw. Tym nożyk cenzorski nawet nie przytnie pióra. Gdybyśmy żyli w monarchji despotycznej, w której panujący jest jedynym prawodawcą, powoływanie się na jego wolę byłoby logiczne i usprawiedliwione; ale my żyjemy w radykalnej, demokratycznej rzeczypospolitej, w której sprawcy i obrońcy samowoli podobni są do antropologów chcących dowieść, że przyprawienie ludziom ogonów uczyniłoby ich idealnymi. — Dlaczego u nas tak się dzieje? Angielski konstytucjonalista, np. Dicey, odpowiedziałby niezawodnie tak:

Wy, szanowni uczniowie wstępnej klasy w szkole konstytucji, nie znacie jeszcze jej elementarza i pozostajecie w ciemności i nałogach niewoli. Nie wiecie, że w państwie prawdziwie konstytucyjnem nie rządzą osoby, ale prawa, wobec których wszyscy są równi i których nikt nawet na najwyższem stanowisku gwałcić nie może. U nas każdy obywatel musi o tem pamiętać tak dalece, że żołnierze, którzy przy uśmierzeniu rozruchów na rozkaz oficera użyli broni nad potrzebę, są odpowiedzialni i w razie udowodnienia im winy karani. Tymczasem u was ciężkie zbrodnie są usprawiedliwiane rozkazem zwierzchnika a nawet posłowie sejmowi nie wstydzą się wyznawać publicznie, że ich programem jest rozkaz pana, któremu służą. Dziwicie się zapewne, że Anglicy nie mając wcale konstytucji pisanej, wiedzą w każdym wypadku,

co im czynić należy. Objaśnia się to bardzo prosto. U nas każdy obywatel ma w sobie miarę słuszności swoich czynów i znajomość granic swobody działania, poza któremi spotkałyby się z energicznym oporem społeczeństwa. Minister angielski wie, co czynić powinien i na co mu pozwala ogół. U nas ani jednostka nie posiada w sobie takiego probierza, ani społeczeństwo nie stawia takiego oporu. My nie uznajemy żadnych rozkazów po za prawem, wy słuchacie wszelkich rozkazów. U nas przestrzegana jest ściśle tak zwana „moralność konstytucyjna", u was ona wcale nie istnieje. My jesteśmy społeczeństwem samorządnem, wy komenderowaną gromadką.

Oto rozwiązanie zagadki.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

STANISŁAW BARCEWICZ

WIELKI żal falami żałobnej pieśni szopenowej poszedł po Warszawie na wiadomość o śmierci Stanisława Barcewicza. Zmarł ten wielki muzyk mazowiecki 1 września w mieście rodzinnem, w którem przeżył zgórą 71 lat (ur. 16.IV.1858).

Był jednym z tych duchów w sztuce, które nadają oblicze ognisku, gdzie pracują, i narodowi. Zwierzało mu się odwieczne życie z najgłębszych poruszeń, które, nim wyrażą się słowem, biją tętnem śpiewnem w krwi narodu. Nawiedzony tą tajemnicą nie zazdrościł sławy światowym łowcom melodji i kunsztu. Przykuty był czarem do ziemi mazowieckiej, postawiony tu na straży przez Szopena i mistrzów, u których się w Warszawie uczył.

Brakło mu odwagi twórczej. Gdyby nie to, wzniósłby się wysoko, wygrałby na skrzypcach rzeczy nowe o Polsce, jak Szopen na fortepianie. Była w nim skromność rasy na dorobku. Cuda z Szopenem się nie powtarzają. Trzeba pracować w znoju ducha nad wykonaniem, aby naród szczeblował w kulturze, tworząc pracowicie styl swego gestu artystycznego.

Barcewicza odczuto instynktem, że jest w nim artysta poświęcony służbie, że wiąże go z ziemią jakaś tajemnica, która mu daje powagę kapłańską. Za to go kochano. Był swój.

Kochano go za głęboki ton jego skrzypiec, za to, że wpadał w rytm serca polskiego, że widział w dziarskości mazurskiej ten sam entuzjazm, który jest duszą pracy i czyni z powszedniości ciągłe święto odrodzeń. Kochano go za jego miłość.

Kochano go za to, — że jak powiedział Norwid o Szopenie — był „miłości profilem, któremu na imię dopełnienie" (doskonałe wykonanie) za to, co „w sztuce mianują stylem, iż pieśń przenika — kształci kamienie". Kochano artystę za miłość sztuki.

Barcewicz związał kulturę muzyczną Warszawy dzisiejszej z czasami Kątskiego i utrzymywał na wyżynie, jako wirtuoz i pedagog, tradycję warszawskiego ogniska muzycznego, które niegdyś rozbłysło światowym genjuszem Szopena, tradycję pracy artystycznej Elsnera, Kurpińskiego, Kątskich. Jako profesor i dyrektor konserwatorjum muzycznego położył wielkie zasługi, niestety — jak słyszymy — niedostatecznie ocenione materjalnie.

Pokolenie najmłodsze może z niedowierzaniem czyta w nekrologach o genjalności Barcewicza. A jednak jest to chwała zupełnie zasłużona. Uczeń Barcewicza Mieczysław Karłowicz, bardzo powściągliwy w sądach i wybredną miarą artystów szacujący, nie inaczej o nim się wyrażał, zawsze ze czcią i najwyższem uznaniem. Nie umieli go wymierzyć tylko muzykolodzy nierasowi, nie odczuwający w sztuce rzecznictwa krwi, oceniający wartości według oklasków motłochu kosmopolitycznego. Al. Poliński w swoich dziejach muzyki polskiej nie wzmiankował nawet o Barcewiczu, ale też nic nie umiał powiedzieć o Karłowiczu, o Szopenie zaś tyle tylko, co obcy orzekli (Liszt). Barcewicz, acz nie twórca, należy w ostatnim okresie dziejów naszej kultury muzycznej do szeregu Moniuszki, Noskowskiego, Żeleńskiego, Michałowskiego—czcicieli genjuszu rasy polskiej.

Z. W.

ZE ŚWIATA

PO ZATARGU CHIŃSKO-SOWIECKIM

OBECNIE, gdy bladobłękitne niebo mandżurskie rozchmurzyło się i stosunki układają się podawnemu, nie od rzeczy będzie przytoczyć kilka uwag oraz informacyj historycznych na temat tych stosunków. Przypominamy, że zaczęły się one komplikować przy ostatnich carach rosyjskich.

Mikołaj II prowadził dalej pracę swego ojca, rozpoczętą jeszcze przez dziada, mianowicie pracę powolnego posuwania się Rosji ku Pacyfikowi. Wyrąbano tajgę, wysadzano dynamitem skały, przerzucano przez potężne Ob i Jenisiej mosty, wzniósł się już nad brzegami Oceanu Wielkiego port Władywostok, już go połączono z koleją syberyjską szynami, ułożonemi wzdłuż brzegów Amuru. Ale ta kolej Amurska była najgorzej zrobioną i najmniej praktyczną częścią wielkiej drogi. Zaczął się więc rząd carski rozglądać: co dalej? Wybuchło w Chinach powstanie „bokserów", skierowane przeciw Europejczykom i skończyło się klęską, co pociągnęło za sobą odszkodowania. Każdy brał, co chciał; Rosja zawarła z Chinami traktat, na mocy którego zajęła pewien pas ziemi w Mandżurji i przez ten pas przeprowadziła kolej, łączącą Władywostok z wielką koleją syberyjską. W punkcie węzłowym powstał Charbin, miasto rosnące w amerykańskiem tempie. Mandżurja północna pod rządami rosyjskiemi zakwitła, a jeszcze lepsza przyszłość zdawała się jej uśmiechać...

Ten właśnie moment leży u źródeł obecnego konfliktu. Po upadku caratu zaczęła się rozsypywać z kawałków sklecona monarchja Romanowych. Korzystając ze słabości Rosji, Chiny bez przeszkody zagarnęły kolej wschodnio-chińską. Nie mając jednak fachowców, zostawili zarząd kolei w ręku Rosjan, sami obejmując administrację terenu kolejowego.

Wytworzyła się taka sytuacja: kolej była chińska, ale rządzili nią i pracowali na niej Rosjanie, przyczem dobór ich był dwubarwny: u góry byli „biali" (przedwojenni urzędnicy lub emigranci), u dołu czerwoni. Stan ten trwał dotąd, aż rząd sowiecki, który był się wyrzekł wszystkich zaborów caratu, pokonawszy wewnętrznych wrogów i zawarłszy pokój z zewnętrznymi przyszedł do wniosku, że przecież kolej właściwie jest rosyjska i opanowanie jej przyniesie korzyść nietylko pod względem materjalnym, ale i politycznym: usadowiwszy się w Mandżurji, która pod względem polityczno-prawnym jest integralną częścią Chin, łatwo

będzie szerzyć wśród Chińczyków propagandę komunistyczną.

Doszło do układów mukdeńskiego i pekińskiego w r. 1924, gdy rząd konserwatywny marszałka Czang-Tso-Lina, obawiając się, by Sowiety nie udzieliły pomocy wrogiemu obozowi komunizujących nacjonalistów (*sic!*), zgodził się, by kolej wschodnio-chińska została wspólną własnością Chin i Z. S. S. R. Administrację zachowają Chiny, urzędy i wogóle wszystkie posady będą obsadzone przez obywateli chińskich i sowieckich na prawach równości. Dochody będą dzielone po równo. Zapanowała zgoda ku wielkiemu zmartwieniu zarówno emigrantów, jak i mocarstw imperjalistycznych, silnie zaangażowanych w stosunkach chińskich. Ale zgoda nie zapowiadała się na trwałe: z jednej strony Z. S. S. R. starał się nie stracić najmniejszej sposobności, by tylko wykorzystać sytuację dla celów propagandy komunistycznej; z drugiej rząd chiński (północny, konserwatywny), podjudzany przez Japończyków, od których pobierał sybsydja, a częstokroć i przez emigrantów rosyjskich, zajmujących w jego armji wybitne niestety stanowiska, zawsze wrogo usposobiony był do Sowietów, którym nie ufał i z któremi zbyt ugodowa polityka była mu nie na rękę, ile że sam głosił bezlitosną walkę z komunizmem chińskim, przez co pozyskał dla siebie „imperjalistów".

Aż wreszcie wybiła godzina, gdy rząd konserwatywny upadł, i południowcy—nacjonaliści stali się władcami całych Chin. Ale też od tej chwili zmieniła się ich polityka i partja ich, Kuomintang, która niegdyś ręka w rękę szła z komunistami, a nawet była z nimi niemal zlana, teraz zmieniła front i okazała się w stosunku do komunistów bardziej bezwzględną, niż konserwatyści. Hasłem ich stało się: „Chiny dla Chińczyków! Precz z imperjalizmem zarówno burżuazyjnym, jak komunistycznym!"

Pokonawszy wszystkch wrogów, stanąwszy mocną stopą na gruncie chińskim, Kuomintang postawił sobie szczytne, ale i trudne do wykonania (prawdopodobnie jeszcze przez długi czas) zadanie: usunąć cudzoziemców, zniweczyć ich eksterytorjalność, znieść nierówne traktaty, które sprawiały, że Chiny, formalnie samodzielne, znajdowały się w zupełnej zależności, głównie ekonomicznej, od obcych. Pierwszym krokiem ku usamodzielnieniu się było przeniesienie stolicy z Nankinu do Pekinu, mimo protestu mocarstw. Coraz bardziej ośmielony, skrycie poniekąd nawet popierany przez Stany Zjednoczone, obawiające się zbyt wielkiego rozwielmożnienia się w Chinach wpływów państw innych, zwłaszcza Japonji, rząd nankiński zaczął unieważniać nierówne umowy, a chcąc pokazać, że potrafi nietylko żądać, ale i zmuszać, postanowił uderzyć w hegemonję obcych ze strony najsłabszej, a mianowicie w sferę wpływów sowieckich.

Grom uderzył: Chińczycy opanowali całą kolej wschodnio-chińską, nie robiąc wiele ceremonij z obywatelami sowieckimi, a marszałek Czang-Kai-Szek, coś niby dyktator Chin, ów Czang-Kai-Szek, który wyszedł ze szkoły Sun-Jat-Sena i należał do komunizujących ongiś związków młodzieży chińskiej, oświadczył, że „imperjalizm czerwony jest bardziej niebezpieczny niż biały"!...

W mandżurskiem powietrzu, przesyconem oddechami gorącemi pustyń mongolskich, Gobi i Szamo, zrobiło się, jak nigdy przedtem, duszno i parno, niebo szare, pochmurne rozdzierały błyskawice. Lada chwila lunie deszcz, i nawałnica się rozpocznie, nawałnica, gotowa zalać wszystkie urzędowe szuflady, w których się przechowują oryginały traktatów od wersalskiego do paktu Kelloga, podpisanego też przez Z S. S. R. i Chiny...

Burza się rozpętała: dzienniki doniosły, że wojska sowieckie próbowały przejść Amur, ale zostały odparte przez wojska—chińskie.

Odtąd codzień donosiły dzienniki o utarczkach na granicy, o zajmowaniu przez wojska sowieckie granicznych punktów mandżurskich, o represjach Chińczyków wobec obywateli sowieckich. „Sam" Budiennyj przybył nad granicę; marszałek Czung-Tsue-Lang śpiesznie odwołany z miejscowości kąpielowej... Z drugiej strony jednak codzień nadchodziły najuroczystsze zapewnienia obydwu stron o ich usposobieniu pokojowem, co nie przeszkadzało urządzać w Moskwie zebrań nawołujących do wojny z Chinami, a w Chinach wydawać manifesty o powszechnej mobilizacji. Tymczasem jednak wszystko się spokojnie kończy, czego dowodem, że komunikacja transsyberyjska została przywrócona i pociągi normalnie kursują zarówno wielką koleją syberyjską, jak i wschodnio-chińską.

Aby zdać sobie sprawę z sytuacji w chwili obecnej, należy rozumieć, że położenie jest bardzo skomplikowane i wiele czynników wpływa na to, że w chwili obecnej obie strony nie są zainteresowane w przyśpieszaniu rozstrzygnięć na polu walki.

Chiny mianowicie zawsze traktowały kolejwschodnio-chińską jako interes. Dochody, które to przedsiębiorstwo przynosiło, były znaczne, i połowa ich, według umowy przypadająca Chinom, obficie zasilała skarb państwa. Współpracownictwo z Sowietami wcale nie było dla Chin uciążliwe: Chińczycy sami nie mieliby kim obsadzić kolei, musieliby powołać emigrantów, niemających za sobą żadnego poparcia. Agitację komunistyczną znosił rząd chiński oddawna i rozprawiał się z nią po swojemu: w miarę tolerował, a gdy było jej za dużo, wysiedlał emigrantów, na co się znowu rząd sowiecki tak bardzo nie oburzał. Zajęcie kolei, jak i mobilizacja były też też w chwili obecnej raczej gestem...

Sowiety się nastraszyć nie dały, choć same wojny nie pragną. Rząd, który przyszedł do władzy, rzuciwszy hasło pokoju za wszelką cenę, rząd, na każdym kroku i na wszystkie strony zapewniający o swych najbardziej pokojowych zamiarach, miałżeby rzucać na falę niepewności nietylko swe położenie międzynarodowe, ale także trwałość samego ustroju? Mało chyba jest w Rosji ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że klęska pociągnęłaby za sobą upadek rządów sowieckich.

Japonja zaś, co przez tyle lat strzegła, by wojna domowa nie przeniosła się do Mandżurji i nie zniszczyła krainy, którą przeznaczała na swoją przyszłą kolonję, nie może pozwolić, by przez żyzne łany mandżurskie przeleciał wicher wojny. Zresztą wojna, czyjąkolwiekby klęską się skończyła, grozi wpływom japońskim w Mandżurji. Chiny, pokonawszy Z. S. S. R. i opanowawszy kolej, będą w stanie uniezależnić się ekonomicznie, a rozzuchwalone powodzeniem, tem energiczniej będą dążyły do rewizji traktatów, które są podstawą hegemonji japońskiej w Chinach. Przytem ze wzmocnieniem się Chin, wzmocnią się wpływy popierających je pocichu Stanów Zjednoczonych, na co Japonja również nie może się zgodzić. Również i przewaga Sowietów groziłaby polityce japońskiej w Mandżurji.

O tem wszystkiem nie trzeba zapominać, chcąc zrozumieć sens ostatniego zatargu chińsko-sowieckiego, jego przebieg i wynik.

TEODOR PARNICKI

WYCHOWANIE NARODOWE

NIEŚMIERTELNĄ MATURA

NIE chodzi o zagadnienie, czy instytucja matury ma rację, czy nie... Obowiązuje, a więc trzeba się z nią liczyć. Ale jakiego dziwoląga zrobiono z tego urządzenia, to woła o pomstę do zdrowego rozsądku. I gdyby ludzie nasi nie byli nasiąknięci przyzwyczajeniem, gdyby się z tem nie zżyli, podobna niedorzeczność nie mogłaby się długo utrzymać.

Matura ma być tym egzaminem, który daje świadectwo, że uczeń posiadł przepisaną sumę wiedzy i że jest dojrzały do korzystania z wyższych nauk. Popisowy ten egzamin, przez samo swoje założenie, otwiera wstęp do wszystkich wyższych uczelni.

Tymczasem u nas uniwersytety dochodza do przekonania, że maturzyści dzisiejsi nie są należycie przygotowani do skutecznego korzystania z nauk wyższych i żądają one wprowadzenia egzaminów wstępnych, które dopiero mają dać prawo do immatrykulacji. A ponieważ takiego egzaminu przepisy nie przewidują, niektóre fakultety obchodzą ustawę i pod pozorem braku miejsc zarządzają egzaminy konkursowe, ażeby z pomiędzy wielu zgłoszonych przyjąć niewielu wybranych. Jest to obejście ustawy. I człowiek musi siebie zapytać, czy w Polsce chcąc cośkolwiek rozsądnego zrobić, musi się koniecznie omijać ustawy? Czy u nas prawa są tylko zbiorem czy stekiem niedorzeczności tak, iż nic rozsądnego nie zmieści się w ich ramach? Czy nie można u nas przeżyć dnia, ażeby się nie musiało przekraczać jakiegoś prawa? Widocznie u nas prawa są po to, aby obywatele wiedzieli, co mają przekraczać, obchodzić lub łamać...

A więc matura, której właściwem, jeżeli nie jedynem uzasadnieniem, jest udzielenie prawa wstępu na uniwersytet, przestaje spełniać swoje zadanie. Po co więc istnieje? Jeżeli wymagania, dziś stawiane, nie wystarczają, to należy je podnieść do żądanego poziomu. A gdy się tego zrobić nie chce, to ją całkiem skasować, a na jej miejsce wprowadzić egzaminy wstępne na fakultetach i całe nasze życie szkolne zostanie wtedy całkowicie „zmagistrowane". Na fakultecie bowiem nie będą żądali ogólnego wykształcenia, jak to ma miejsce przy maturze, lecz swojej tylko specjalności i w kraju dyletantów mieć będziemy tylko specjalizujące nauki i egzamina.

I ogół oraz władze szkolne już się poprostu godzą z tem, że matura traci i kiedyś zupełnie utraci swoje znaczenie egzaminu, uprawniającego do zapisania się na uniwersytet, a zamiast myśleć o jej zniesieniu, jako przeżytku już zbytecznego, usiłują dodać jej żywotności przez uboczne wstrzyknięcia. Wydano przepisy ustalające, do jakich zajęć, zawodów, studjów i t. d. daje dostęp matura. I okazuje się, że w tym kraju analfabetów, najliczniejszych po Rosji w Europie, w tym kraju elity umysłowej z domowem wykształceniem lub o uproszczonym egzaminie, człowiek bez matury nie ma nigdzie wstępu, prawie nie jest człowiekiem. W Niemczech przedwojennych pełnowartościowy człowiek zaczynał się od barona. W Polsce powojennej kandydat na człowieka zaczyna się od maturzysty. Biada temu, kto nie posiada ziemi, domu, kapitału, fabryki, warsztatu, bo bez matury nigdzie nie znajdzie wstępu. Korekturę stanowi protekcja. Wtedy bez żadnych studjów przygotowawczych, czy końcowych można zostać starostą, wojewodą, ministrem, a zawsze posłem lub senatorem...

Niemcy i przed wojną były krajem o szeroko rozlanej oświacie, nie mającym prawie analfabetów. A tam można było zostać oficerem z sześcioma klasami i można było wstąpić na rozmaite dwuletnie akademje: rolnicze, przemysłowe, handlowe, eksportowe i t. d. i t. d. U nas na oficera potrzeba matury, do Szkoły Sztuk Pięknych, do Konserwatorjum muzycznego i t. d. nie można się dostać bez matury.

Miły Boże! Gdyby wziąć profesorów ze Szkoły Sztuk Pięknych, albo z konserwatorjum, nieraz ludzi tak znakomitych, że są chlubą naszą nawet zagranicą, ilu z nich musi dziękować Bogu za to, że się urodzili pierwej, nim Polska „wybuchła", bo w przeciwnym razie zamiast sławy i wysokiego stanowiska musieliby chyba kontentować się tłuczeniem kamienia na szosie. Biegas, którego rzeźby mają taki pokup w Paryżu, byłby dalej pasał cudze krowy, zamiast po Europie zbierać laury dla siebie i dla Polski, gdyby był przyszedł na świat w wolnej już i bardzo demokratycznej Polsce.

Co ma wspólnego z maturą dar słuchu i pieśni albo dar plastycznego spojrzenia na świat? Ilu Carusów byłoby zmywało talerze w ostatniorzędnej jadłodajni, zamiast olśniewać świat głosem i zbierać miljony, gdyby przepisy odrodzonej Polski były obowiązywały przed wojną we wszystkich krajach. Reszke, Mierzwiński, Kruszelnicki, Florjański i t. d. i t. d. nie byliby śmieli nawet popatrzeć na nuty, gdyby ich był taki przepis zaskoczył.

Jest to dążność do ujednostajnienia, uniformowania, szablonowania ludzi, sztuki i wszystkich zjawisk życia. A robią to właśnie ci sami ludzie, którzy wiecznie naciskają, przypominają i nakazują, ażeby uczniów w klasie traktować indywidualnie i broń Boże nie podciągać pod jeden strychulec. Więc jakto? Całe dojrzałe społeczeństwo ma wyjść z jednej formy, mieścić się w jednym patronie, być zszablonowane, przepraszam: zmaturzone jak miljony figur woskowych z jednego odlewu — a młodzież, która ma niebawem stać się znowu społeczeństwem i wejść pod ten jeden banalny strychulec, powinna właśnie być wychowana wichrowato, niespoiście, w sposób niesharmonizowany i nieuzgodniony, bo zgoda będzie zgubą!

Wartoby postarać się, żeby ci, co wydają przepisy, zastanowili się nad tem, czego chcą od społeczeństwa i do tych swoich zamierzeń dostosowali metodę kształcenia młodzieży.

W poniewieranej i ośmieszanej, a niedość znanej Galicji cztery klasy szkoły pospolitej uprawniały do objęcia posady pisarza w sądzie, do wstępu na kurs podoficerów w wojsku i t. d. Dwie klasy gimnazjalne dawały wstęp do niższych szkół zawodowych: rolniczych, garncarskich, stolarskich, lasowych i t. d. Cztery klasy szkoły średniej dawały prawo wstępu do średniej szkoły handlowej lub przemysłowej. A musiały te szkoły przemysłowe średnie dawać niezłe przygotowanie fachowe, skoro ich absolwenci pobudowali wodociągi, gazownie, elektrownie w Krakowie, Lwowie, Przemyślu itd., a jeden z nich zostawszy posłem, przeprowadził ustawę, iż absolwenci, którzy przed wojną te szkoły pokończyli, otrzymują tytuł inżynierów. Po sześciu klasach miało się wstęp do kasy skarbowej, poczty, kolei, szkoły oficerskiej, farmacji, dwuletniej akademji i td. Dopiero ukończenie ośmiu klas i złożenie matury otwierało wrota do uniwersytetu.

Wskutek tego w szkole średniej nauczyciele dokonywali selekcji, przepuszczając do wyższej klasy tylko uczniów, okazujących wybitne zdolności i zamiłowanie. Nie potrzebowali wzruszać sobie serc, bo po każdej prawie klasie niezdatny chłopiec znajdował możność szuka-

nia kawałka chleba według uzdolnienia lub upodobania. Kiedy wstępowałem do gimnazjum w roku 1884 przyjęto nas prawie 120 do pierwszej klasy—a z pomiędzy tych przyjętych tylko 18 siadało do matury w roku 1892. Ilu zaś zdało, nie pamiętam.

To była selekcja, dokonywana bez krzywdy i łamania życia. Władze uniwersytetu nie żaliły się na niewystarczające przygotowanie maturzystów. A egzamin dojrzałości składało się ze wszystkich przedmiotów, prócz religji, bo zwolnień nie było żadnych.

Dziś byłoby tyraństwem, krwiożerczością, rzezią niewiniątek, gdyby się chciało większość młodzieży, przyjętej do gimnazjum, usuwać przez złe noty, po drodze do ósmej klasy. A co on zrobi, jeżeli gimnazjum nie skończy? oto pytanie, jakie sobie zadają nauczyciele, rodzice, kuratorja. I po ludzku jest to pytanie słuszne. Ale w takim razie, nie wiedza, nie przygotowanie naukowe, ani dojrzałość umysłowa dają chłopcu świadectwo maturalne do ręki, tylko litość, miłosierdzie.

W tych warunkach, kiedy bez matury nie jest się człowiekiem i nie znajduje się dostępu do żadnego zawodu, szkoła średnia z zakładu ogólnokształcącego zamienia się na biuro do fabrykowania świadectw dojrzałości, aby setkom tysiecy młodzieży nie łamać życia. I ta funkcja szkoły średniej tak weszła w przekonanie, w instynkt, w psychikę społeczeństwa, że nawet inteligentni rodzice nie rozumieją, kiedy im nauczyciel wyjaśnia podstawowe, zasadnicze braki wiedzy u ich dzieci. „A jemu to poco? Nie będzie literatem, bez łaciny się obejdzie, matematyki mu nie trzeba, bo obierze taki a taki zawód“. Oto odpowiedź wszystkich rodziców, nawet najbardziej wykształconych i uświadomionych. Nie chodzi bowiem o wiedzę lub wykształcenie, lecz tylko o patent. Tak rozumuje uczeń, tak rodzice, tak cała publiczność, tak w praktyce władze szkolne. Do tego doprowadziła tępa pedanterja, ogłaszająca: „*Extra maturam non est salus*“.

Ale i matura zbawienia nie daje, bo uniwersytety zaczynają przeprowadzać selekcję. A matura sama nie daje nigdzie zawodu i kawałka chleba, bo tylko uprawnia do wstępu na uniwersytet.

I tu zaczyna się tragedja nietylko tych dziesiątków tysięcy maturzystów corocznych, ale społeczeństwa i państwa. Człowiek, który ma egzamin dojrzałości, a nie może się dostać na uniwersytet, jest najstraszniejszym wykolejeńcem. To jest element niezadowolenia, złości na wszystko i wszystkich, materjał dla wszystkich eksperymentów przewrotowych. Bo to nie jego wina, że uczył się lat 12 lub więcej, że młodość zmarnował w murach szkolnych, że dostał papier, za który bochenka chleba nie dostanie. Jest to wina stosunków, wytworzonych bez jego przyczynienia się, a stąd pochodzi uraza wewnętrzna do świata i ustroju, bunt i chęć przewrócenia wszystkiego. I to przewrotu nie po to, żeby było lepiej—nawet nie po to, żeby było inaczej — lecz po to, żeby zniszczyć znienawidzoną teraźniejszość, choćby przyszło i samemu zginąć pod gruzami.

Lepszy był niemiecko - austrjacki system, który do matury dopuszczał tylko przebrane i przebrakowane jednostki, przyjmowane z ochotą na wyższych uczelniach, a usuwanym po drodze młodzieńcom zostawiał możność zdobycia w inny sposób kawałka chleba. Taki monter, leśniczy, technik dentystyczny, ekonom itd. nie miał do nikogo żalu za to, że nie doszedł do matury, bo sam widział i otwarcie to przyznawał, że mu stosownych talentów brakowało. Ponieważ zaś obowiązek posiadania matury nie zagradzał mu drogi do zdobycia kawałka chleba, czasami nawet lepszego niż uniwersytecki, więc mógł swoje inne uzdolnienia, w innym, nie szkolnym kierunku rozwijać. Spotykało się nawet ludzi, którzy w praktycznym zawodzie tak się dorobili, iż potem głośno błogosławili tę dwójkę, co ich ze szkoły usunęła.

Tylko przymus posiadania matury nie łamał ludziom życia.

JAN ZAMORSKI

NAUKA I LITERATURA

ARCHIWUM RAPPERSWILSKIE

JESZCZE niema Bibljoteki Narodowej, ale istnieje już początek, bardzo szczęśliwie dokonany, jej katalogów. Jak widzimy, wydział biblioteczny ministerjum oświecenia zbiera zapasy do przyszłej bibljoteki. Przeznaczona jest również do niej dawna bibljoteka Rapperswilska, złożona od paru lat na przechowanie w gmachu bibljoteki wojskowej. Bibljoteka jest już zupełnie uporządkowana i w doskonałym utrzymuje ją stanie obecny (od r. 1915) bibljotekarz Adam Lewak.

On to dokonał najtrudniejszej roboty, bo skatalogował archiwum rękopiśmienne Rapperswilu. Poprzedni bibljotekarze, poczynając od Z. Wasilewskiego (1892—94) i Żeromskiego (1894—1898) pracowali nad katalogiem druków, które zupełnie spisu nie miały. Potem Wacław Karczewski zabrał się do rękopisów, ale p. Lewak system jego zmienił, co wyszło katalogowi na korzyść.

Obecnie p. Lewak ogłosił drukiem tom pierwszy tego katalogu p. t. „Zbiory Bibljoteki Rapperswilskiej (1—1314)“. Tom ten jest zarazem tomem pierwszym ogólnego (przyszłego) katalogu rękopisów Bibljoteki Narodowej.

Przydała się więc robota emigrancka; dostaje się w podwaliny poważnej pracy kulturalnej krajowej, którą rozpoczynają twórcy Bibljoteki Narodowej.

Ten tom I, wydany nakładem funduszu Biblj. Nar., liczy 507 stron w 4-ce, a w tem 157 stron w dwu szpaltach zajmuje sam skorowidz nazwisk w katalogu wymienionych (około 14 tysięcy). Można więc z tego wnosić, ile w tych 1314 pozycjach katalogu znajduje się materjału personalnego do historji przeważnie emigracji.

Muzeum w Rapperswilu, założone w r. 1869, zaczęło zbiór rękopisów od archiwów Wł. Platera i Leonarda Chodźki. Byli to typowi kolekcjonarze-emigranccy, którzy w papierach widzą ekwiwalent utraconej rzeczywistości. Zbierano starannie i kopjowano wszystko, co Polski tyczyło. Chodźko zostawił 125 tek formatu grubych ksiąg, ściśle jednakowych, ustawionych w specjalne szafki, a każdy tom wypełniony jest ślicznem pismem robionemi kopjami. Potem przybyły archiwa Ludwika Królikowskiego, Krystyna Ostrowskiego, Sobańskich, Nabielaków, Dygata i Kosiłowskiego, Gałęzowskiego, Rubacha, Gasztowtta, Lelewela, Mierosławskiego, Okszy Orzechowskiego, Kordzikowskiego, H. Bukowskiego, Artura Wołyńskiego, Gawrońskiego, Z. Miłkowskiego, dalej archiwa likwidowanych towarzystw emigracyjnych (jak Tow. Demokr.).

Ze zbiorów tych potworzono już parę kolekcyj z katalogami drukowanemi Z. Wasilewskiego (Kościuszko), St. Żeromskiego (Mickiewicz). Do najpiękniejszych należy archiwum S. Goszczyńskiego. Bogate zbiory do r. 1863-4 będą skatalogowane w t. II, nad którym p. Lewak pracuje.

Katalog p. Lewaka opracowany jest dokładnie i przejrzyście. Każdy, kto pracuje nad w. XIX, musi go mieć pod ręką, a z niego doskonale się dowie, czego i gdzie można szukać w Archiwum.

Ponieważ przytem na miejscu w bibljotece dostępny jest katalog kartkowy druków, przeto powiedzieć można, że ta nieprzystępna dotąd dla Warszawy karta historji, jaką była wielka emigracja, jest dla niej odsłonięta. Doskonałe urządzenie czytelni, przy uprzejmości p. Lewaka, ułatwia pracę i do niej zachęca.

Z. W.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W nr. 33 podaliśmy niektóre opinje krytyków o ostatniej książce Z. Wasilewskiego „Poeci i teatr". Uzupełniamy je głosem profesora literatury polskiej na uniw. poznańskim dr. Tadeusza Grabowskiego, który w „Kurjerze Poznańskim" z powodu tej książki pisze: „Sprawiedliwie powiedziano o Wasilewskim, że był on potrzebny narodowi ze zduszonem i wykoślawionem niewolą życiem duchowem. W swoim czasie podobną rolę pełnił Brodziński, po nim, w gorszych warunkach, Tyszyński, po nim wreszcie dużym autorytetem cieszył się Chmielowski... Najwięcej zbliżył się Wasilewski do Matuszewskiego. Czyta się jego krytyki z pożytkiem. Odczytują one jakby drugimi wzrokiem to, co jest ukryte dla oczu zwyczajnych... Krytyk, psycholog, socjolog, ideolog — ma Wasilewski styl pełen odcieni i suggestywności. Jest pisarzem piewszego rzędu dla swej jasności, subtelności, wytworności tonu".

*

W duchu popularnego dzisiaj hasła „regjonalizmu" powstała w Lublinie przy Tow. Przyjaciół Nauk Komisja regjonalistyczna, która wydała teraz drugi zeszyt swego organu, noszącego tytuł „Regjon Lubelski" (czerwiec 1929. Druk. państw. w Lublinie). Zeszyt ten poświęcono Akad. Kołu Lubliniaków im. H. Łopacińskiego, w 15 rocznicę jego powstania we Lwowie. Redaktorem „Regjonu" jest prof. dr. F. Araszkiewicz, autor cennych prac literackich o Bolesławie Prusie. Zeszyt ten „Regjonu" przedstawia się sympatycznie ze względu na treść i staranność wydania. Siedem prac dotyczy dziejów młodzieży lubelskiej: w nich cenne wspomnienia o prof. H. Łopacińskim. Jedna z pozostałych prac W. Nagórskiej nosi tytuł: Prace konspiracyjno-oświatowe w Nałęczowie w latach 1905 - 1907, mające pewną wartość dla biografów Żeromskiego. Zwraca uwagą studjum Pasy skórzane w Lnbelszczyźnie (z ilustracjami) St. Dąbrowskiego, Araszkiewicza szkic: Twórczość literacka Fr. Arnsztajnowej, oraz bibljografja woj. lubelskiego za r. 1927 (według powiatów).

*

Co się drukuje w odcinkach? W „Słowie Pomorskiem" (Toruń) czytamy z zainteresowaniem powieść Tadeusza Gluzińskiego: Karjera Kocia. „Kurjer Poznański" drukuje Mieczysława Jarosławskiego powieść: Andrzej Soplica. „Gazeta Bydgoska" powieść kapitana Danrita: Śmierć Europie, oraz Czesława Lorkowskiego Wrażenia z podróży po ziemi ojczystej. „Lwowski Kurjer Poranny" powieść egzotyczno - sensacyjną Teodora Parnickiego (wychowańca szkoły w Charbinie) p. t. Trzy minuty po trzeciej. „Gazeta Warszawska" powieść Kaz. Wybranowskiego: W połowie drogi. „Kurjer Warszawski", powieść St. Kiedrzyńskiego: Serce na ulicy. W „Placówce Kresowej" (Cieszyn) skończyły się teraz Tadeusza Kossaka wspomnienia więźnia stanu z r. 1905 - 1906 p. t. Za kratą. Obecnie ogłasza tam J. Zahradnik studjum: Bielsko Śląskie jakie kiedyś było.

U SŁOWIAN

Miczun M. Pawiczewicz, znany wśród bałkańskich słowian ze swoich utworów pisarz czarnogórski, wydał ostatnio bardzo ciekawą książkę p. t. „*Crnogoraca u pricama i anegdotama*", która charakteryzuje doskonale to dzielne plemię.

Już przed wojną światową książki Pawiczewicza chętnie były czytane przez szerokie koła inteligencji serbsko-chorwackiej. To też praca pisarza nad zebraniem przysłów i anegdot czarnogórskich wywołała ogólne zainteresowanie. Przed oczyma czytelnika „*Crnogoraca u pricama i anegdotama*" przesuwają się obrazy z życia tego tak ciekawego a mało znanego ludu; jego umiłowanie ziemi ojczystej, wybitna indywidualność i inteligencja, wyróżniająca te wspaniałe plemię z pośród ludów południowej słowiańszczyzny.

*

Jednym z najbardziej znanych badaczy jugosłowiańskiej kultury średniowiecza jest profesor wiedeński uniwersytetu Strzygowski. Jest on autorem książki p. t. „*O starohrvatskoj umjetnosti*", w której omówiony jest obszernie rozwój starochorwackiej kultury. Prof. Strzygowski stwierdza, iż chorwacka kultura narodowa istniała już przed poddaniem się chorwatów pod wpływy Rzymu i Bizancjum. Złotym wiekiem kultury starochorwackiej jest, jego zdaniem, wiek IX i X, okres największego rozwoju państwa chorwackiego. Chorwaci stworzyli też w tym czasie swój odrębny styl, tak niepodobny do bizantyjskiego i rzymskiego. Stare kościoły i ornamentyka Chorwacji i Dalmacji dobitnie uwydatniają cechy stylu starochorwackiego.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„*Désir d'amour*" (Flammarion edit.), którego autorem jest Georges Oudard nie rozgrywa się na lądzie, ale na morzu. Życie podróżników na statku, udającym się z Hawany do Saint-Nazaire, organizuje się jakoby jakaś egzystencja normalna, jakkolwiek każdy z nich wie, że niebawem się ono skończy. Niemniej jednakowoż łączą podróżników wspólne sympatje, różnią intrygi. Bohater zaś tej książki, Bernard Sangniot, należy do tego typu ludzi, którym się zdaje, że w ubraniu podróżnika jest innym człowiekiem, inaczej czującym, gdyż w istocie mniej pragnął on „poznawać nieznane sobie kraje, niż raczej móc wymknąć się od codziennej egzystencji". Dlatego też Bernard Sangniot bierze niezmiernie czynny udział w życiu efemerycznem statku. Flirtuje z Izabelą, ale nie pogardza Julienne, interesuje się galerją obrazów, jaką stanowią różnorodne typy podróżników i chwilami może zdawać się czytelnikowi, że pod wpływem wypadków na statku rzeczywiście zmieni się jego charakter i bieg życia, odrywając go od rodzinnych nawyknień. Chęć jednak przygód i awantur kończy się, gdy statek przybija do portu, gdzie na Bernarda czeka jego żona, a z jej obrazem zdaje się we mgle znikać nietylko kadłub okrętu, ale i perypetje oraz intrygi, jakie przez kilkanaście dni pasjonowały jego podróżników.

*

P. Konstanty Weyer, tegoroczny laureat nagrody Goncourt'ów, wydał obecnie interesującą książkę „*Le Morvan!*". Przygotowuje on nową serję utworów o Kanadzie, gdzie spędził znaczny okres swego życia przedwojennego. Serja tych powieści będzie nosiła wspólny tytuł „*La Nouvelle France*". Pierwsze jej tomy są „*Spes Unica*", „*Du sang sur la neige*" i „*Montcalm*".

*

Do szeregu kolekcyj historycznych, ukazujących się u rozmaitych wydawców, dodać należy nowy zbiór, jakim kierować będzie znany publicysta p. Emile Buré. Kolekcji tej, poświęconej okresowi współczesnemu, dano jeko tytuł „*Sous la troisième...*". Bohaterami jej staną się oczywiście wybitne osobistości Trzeciej Republiki. Pomiędzy temi tomami ukaże się „*Combes*" w opracowaniu byłego ministra, senatora Leona Bérard'a; „*Au temps du Boulangisme*" w opracowaniu p. Aleksandra Zévaes; „*Gambetta*" pióra p. Daniel Halévy; „*Sous le signe de Ravachol*" napisze Victor Méric, a poseł Mandel wyda „*Raymond Poincaré*".

*

P. Bertrand de Jouvenel, syn byłego ministra, senatora Henri de Jonvenel przygotowuje „*Vie révolutionnaire d'Emile Zola*" oraz „*Le Nationalisme Européen*".

*

P. Marc Chadourne, którego ciekawa powieść „*Vasco*" spotkała się z bardzo dobrem przyjęciem przez krytykę, wyda niebawem „*Le Fou du Temps*", a p. Funck-Brentano „*L'Ile de la Tortue*", która ukaże się w interesującej kolekcji „*La Grande Légende de la Mer*".

*

Armando Palacio Valdés, jeden z najwybitniejszych pisarzy hiszpańskich, ogłosza bardzo ciekawą książkę p. t. „*Testamento Literario*". Jest to owoc zebranych wrażeń i doświadczeń w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat życia. Autor, który do ostatniej chwili zachował świeżość młodzieńczą umysłu i porywający sposób pisania porusza cały szereg ważnych, związanych z życiem literackiem tematów i zagadnień, grupując je pod właściwemi tytułami rozdziałów książki: Powołanie, Metafizyka, Estetyka, Wpływy, Rodzina i przyjaciele, Polityka, Hygjena, Sława i pieniądze, Myśli o zmierzchu i wreszcie Ostatnia spowiedź. Książkę znakomity pisarz poświęca w szczególniejszej mierze młodym literatom. „Powołaniem literackiem nie jest — mówi Valdés — ani pogoń za przygodami, ani uniesienie nerwowe, ani bladość twarzy i sińce pod oczami, ani rozwichrzona czupryna, ani czerwona kamizelka, ani też nieokiełzana ambicja bazgrania ćwiartek papieru i klecenie wierszy... Jest to raczej jakby uczucie miłosne, które się nosi w sercu. To, co się pisze dla siebie samego, jest zazwyczaj najlepsze".

*

Gonzales Arrili, nowelista hiszpańsko - amerykański w nowowydanej książce „*El pobre afan de vivir*" (Zmęczeni życiem) daje dowód pełnego rozkwitu swego talentu. Tom nowel owianych melancholją wzrusza czytelnika. Piękna jest zwłaszcza nowela, dająca tytuł książce, o dwojgu staruszków, którzy doznali w życiu samych goryczy i niesprawiedliwości. Wspaniały styl nowel umila czytanie.

OFENSYWA

„BABY" PACYFIKUJE GLOBUS

W KANIKULNYM sezonie znów wypśniętą ideę Zjednoczonych Stanów Europy ośmiesza najwięcej jej rzekomy renowator i chorąży hr. Coudenhowe Calergis.

Prababką jego była Polka, panna Trzcińska, babką hrabianka Nesselrode, matką Japonką, a on sam ożeniony jest z wiedeńską żydóweczką, komedjową aktoreczką, Idą Roland. Psychiczna to organizacja z komedji Schnitzlera: „Anatol". Polityczny talent w stylu Aleksandra hr. Skrzyńskiego. Za słaby fizycznie na sporty, poświęcił się wiedeński dandys (*gigerl*)... pacyfizmowi. Wyciągnął z bibljoteki dzieła Saint-Pierre'a i Kanta, Molinarego i Leroy-Beaulieu i z tego wszystkiego skleił koncepcję Paneuropy, o której przed nim pisało już tysiąc dziennikarzy i jedna. Niemcom szepce cicho do uszu, że z tego się wydestyluje *Mittel-Europa*, Francuzom, że to podeprze ich hegemonję... W gruncie rzeczy zaś jest to tylko etap do bezwzględnej już Shylockracji na kontynencie. Nowe na wielką skalę Esperanto.

Całkiem bowiem szczerze i lojalnie w piśmie swojem w r. 1926 wypowiedział się hr. Coudenheve-Calergis (po ojcu Czecho-Niemiec, po dziadku Grek, po pradziadku Muchanowowic rosyjską krew mający), że żydzi tylko są narodem wybranym, przyszłą arystokracją europejską, do rządzenia uprawnioną.

Skrzętnie przetłomaczył to wtedy krakowski „Nowy Dziennik". Nawiasem mówiąc, bardzo często Aryjczycy młodzi, pożenieni z Semitkami, bywają w miodowych latach stuprocentowo fanatycznymi propagatorami Shylockracji. Oto kilka pereł z naszyjnika Idy-Roland-Coudenhove-Calergis:

„Procentowo wyszło z Żydowstwa najwięcej wybitnych ludzi; w dobie obecnej jest twórca najnowszej nauki Einstein, modnej muzyki Mahler, współczesnej filozofji Bergson. Stanowisko swe zawdzięcza Żydowstwo swojej umysłowej przewadze, dzięki której pokonują Żydzi w umysłowych zawodach swych przeciwników".

„Z francuską rewolucją, która zniosła przywileje arystokracji rodowej, rozpoczęła się druga epoka emancypacji ducha. Jednakowoż arystokracja rodowa zmarniała, będąc na usługach monarchów, artystokracja duchowa zmarniała, będąc na usługach kapitału. Na pierwsze miejsce wysunęła się plutokracja; demokracja jest tylko fasadą plutokracji. O ile Żydowstwo nie ulegnie korupcji kapitału, to tkwi w niem zarodek na arystokrację przyszłości. Przewaga mózgowa predestynuje Żydów do tego".

„Główne przyczyny antysemityzmu, to ograniczenie i zazdrość; ograniczenie pod względem religijnym i naukowym, zazdrość pod względem umysłowym i gospodarczym. Najlepsze jednostki żydowskie łączą w sobie cechy arystokracji rodowej, to jest siłę woli z bystrością umysłu".

„Szczęśliwy przypadek zrządził, że w chwili upadku szlachty feudalnej, dzięki emancypacji Żydów powstała nowa rasa umysłowa. Pierwszym reprezentantem tej przyszłej szlachty był rewolucyjny Żyd Lassalle. Nie możemy powiedzieć, że Żydowstwo jest nową arystokracją, lecz Żydowstwo to kolebka, z której przyszła arystokracja duchowa Europy powstanie. Będą to ludzie mądrzy, sprawiedliwi, dzielni, jak feudalni rycerze w najlepszych swych czasach, którzy chętnie zniosą śmierć, „nienawiść i pogardę, by ludzkość uczynić etyczniejszą i szczęśliwszą".

„Siła charakteru, połączona z bystrością umysłu, predestynuje Żydów na przywódców ludności miejskiej, na prawdziwych i na pseudoarystokratów ducha, na protagonistów kapitalizmu i rewolucji. Obecny okres demokratyczny jest antraktem między dwiema arystokratycznemi epokami, mianowicie epoką feudalnej arystokracji miecza *i* społecznej arystokracji ducha: arystokracja feudalna chyli się ku upadkowi, arystokracja duchowa jest w stadjum tworzenia się, a w rzeczywistości panuje pseudo-arystokracja pieniężna".

Taki jest właściwie „światopogląd" typowo wiedeńskiego, rozmiękczonego, wydelikaconego, schyłkowego arystokraty — *Schoengeist'a*. wyjątkowego rasowego mieszańca o dużym intellektualnym tupecie i jeszcze większej ambicji odegrania jakiejś wielkiej roli historycznej w Europie. Amator i meloman polityczny ferworem swoim i tzw. „*macht sich wichtig*" ośmieszający idee, którym apostołuje.

Nadto, jeżeli weźmiemy pod uwagę stosunek do nas, to w kwestji Pomorza ten „laluś na szczudłach" również wypowiedział się bardzo nie dwuznacznie, co swego czasu zraziło doń nawet pierwszego polskiego „paneuropejczyka" p. Lednickiego. Wiedeński *Schoengeist* pływa po powierzchni dość już długo dzięki temu, że młodzi hrabiowie znowu są w modzie, dalej dzięki temu, że napuszone i ciężkie pomysły Leroy Beaulieu'go podaje w rozwodnionej, lekkiej, fejletonistycznej, przystępnej dla szerokiej gawiedzi formie i następnie dzięki temu, że dla swych *capricios* zdołał skokietować też kilku elegantów paryskich, *cosmopollison*'ów, zabawiających się intelektualnie. Wiedeńską galanterję przyjęto i na paryski rynek. Zaczęli go protegować: osławiony Valois-Gressaint, renegat rojalistów, senator de Jouvenel w swej „*Revue des Vivants*", Gaston Rion napisał w stylu wiedeńskiego salonowego marzyciela swoje: „*Europe ma patrie*". Paryzjanizm hr. Calergis, tej męskiej „*Wiener süsses Mädel*" wyzyskały dla swojej propagandy i udały że go biorą na serjo te pisma paryskie, które od kilku lat idą na rękę Niemcom (*Matin, Volonté, Petit Journal, L'Oeuvre*) tak jak przed wojną szło się na rękę caratowi stale... nie bezinteresownie. Na całym tym salonowo-politycznym ruchu ideowym odrazu oczywiście położyła rękę opiekuńczą Shylockracja.

W ostatnich czasach wypowiedział się w kierunku Europejskich Stanów Zjednoczonych (U. S. E.), także Aritides Briand raczej przelotnie i figlarnie. Emuucjacja Brianda znalazła miejsce w progermańskiej „*L'Oevre*". Angielska i italska prasa enuncjację tą albo „pokryła" milczeniem albo też poprostu wyszydziła. Żydowstwo już chciało uderzyć w wielkie gongi, ale w ostatnim momencie się wstrzymało. Natomiast skorzystał z okazji wiedeński gogo ideowy i palnął sobie ze swej wiedeńskiej garsonjery orędzie do „Paneuropejczyków", które ogromnie zaimponowało przedewszystkiem „Idzie Roland" i eleganckiemu żydowstwu wiedeńskiemu.

W Warszawie dała się wziąć na te, dziś już po kilku dniach zwietrzałe *forberies de Scapin Calergis* pansemicka „Epoka", organ pacyfisty Wassercuga i militarysty Hirschbanda.

Bardzo słusznie. Plany p. Condenhove są ogromnie dogodne dla tych, w których interesie pisują Hirschband militarystycznie a Wassercukier: pacyfistycznie. „Polakom w Polsce" się to nie podoba.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Telegram z Genewy donosi: „Komisje genewskie rozpoczęły dziś obrady, przyczem uwagę zwrócił fakt, że w żadnej z sześciu komisji nie przewodniczy Polak". („Kurj. War."). W telegramie zaś P. A. T. — wymieniono członków delegacji polskiej, rozmieszczonych w komisjach. W każdej jest jeden żyd. Na 23 delegatów polskich — 6 żydów, co stanowi niemal 27%. Czy nie należałoby tutaj stosować *numerus clausus?* Trudno się dziwić, że delegacja nie cieszy się dostateczną powagą, skoro o tę powagę swojej delegacji nie dba sama Polska. Między nazwiskami niema ani jednego, któreby przypominało, że Polacy zawdzięczają wolność zwycięskiej koalicji antyniemieckiej. Wielu delegatów nieznają z nazwiska ani zagranicą, ani w kraju; są tam politycy, którzy w czasie wojny byli podrzędnymi reporterami w progermańskich dziennikach prowincjonalnych. W żadnym zaś razie ani interesom, ani powadze państwa nie odpowiada taki szereg, jak: Benis, Gliwic, Gwiazdowski (Grosstern), Mühlstein, Rundstein i Sokal, zajmujący w delegacji najważniejsze stanowiska. Jaką zaś rolę w czasie wojny odgrywał sam p. Zaleski, o tem przecież wiedzą w Genewie.

*

Jedno z prowincjonalnych pisemek „sanacyjnych" „Nadwiślanin" (Chełmno) zaczyna artykuł wstępny od słów: „Obóz nienawiści narodowej, zwany popularnie Demokracją Narodową"... Dziwna nastała moda bredzenia od rzeczy. Każdemu tam wydaje się, że jest wielki, gdy mówi bez sensu: istny szpital warjatów. Obóz, który zorganizował naród i dał mu niepodległość jest według „sanacji" obozem „nienawiści narodowej". Wynika stąd, że obóz, który dezorganizuje naród, nazywa go narodem idjotów, a w czasie wojny szedł z Niemcami, jest obozem „miłości narodowej"...

Przypominamy Sz. PP. Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał IV.

Egzemplarze nieopłacone za kwartał III-ci zostaną wstrzymane.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM